

# ZIEMIA



MIESIĘCZNIK KRAJOZNAWCZY ILUSTROWANY



Ryc. 25.

Fot. W. Zarzycki. Ze zb. P. T. Kr.

TATRY. NA SKUPNIOWYM UPŁAZIE.

## WSPOMNIENIA Z WYCIECZKI NA MONT BLANC.

Prześliczną jest dolina Arvy! Ostre, poszarpane ściany ściskają skalnym obręczem wąziutką ciemną dolinę. Siedząc wygodnie w niewielkich, na przestrzał otwartych wagonikach zębatego tramwaju elektrycznego, mamy czas napawać się przepysznym widokiem. A tramwaj nasz, jakgdyby się złościł, iż musi wysługiwać się zniewieściałym turystom, skrzypi i zgrzyta niemiłosiernie, ale powoli i z uporem pnie się do góry. Coraz nowe widoki odsłaniają się nam, w miarę jak zdobywamy piętro za piętro. Gdzieś w dole błysnie od czasu do czasu coraz mdlejsze srebrząca się tafła geneńskiego jeziora, ale zato każdy załom, każdy zakręt zbliża nas do wymarzonych światów górskich. U szczytów tłoczą się chmury, rzucając bezładnymi plamami ponure cienie na zieloną wstęgę doliny. Lecz wnet wiatr, nasz dobry opiekun, rozpędza chmurzyska, które wśród niebotycznych wierchów gubią się niebawem jak senne widziadła. Wnet słońce pełnym blaskiem oblewa dolinę, dodając jej niewysłowionej krasy i barw przepychu. Zawrotnym szlakiem poprowadzona szosa z niteczką szyn tramwajowych ginie w otchłaniach, łącząc się niby w całość ze srebrzaną wstęgą Arvy, co chwila błyszczącą tęczowemi oparami niezliczonych kaskad.

I na myśl nawet nie przychodzi, że wdarcie się mizernego człeka ze swemi—zda się—lilipuciami maszynami w krainy górskiej przyrody, pozbawiają krasy dziewiczej. Na otwrot śmiem twierdzić... że ją urozmaica i uzupełnia. Wszak nikt nie zaprzeczy, że widok pustych, rozległych hal, szczególnie jesienną porą przynębiające sprawia wrażenie, ale niech tylko wypełnią je stada baranów, ochotne okrzyki juhasów rozerwą jednostajny majestat ciszy—niech je uzupełni obraz szałasów, rzuconych niby od niechcenia na zbocza i grzbiety— a w pełnym, artystycznym zespole ukaże się nam całość. Szczególnie samotnego wędrowca, gdy tylko posępny szum górskich puszczy wokół się rozlega, gdy ptak nawet się nie odezwie, drażni i wprost przeraża ten wielki, dostojny i groźny majestat gór. Ma się wtedy

odczucie, iż znajduje się na jakimś gigantycznym, starem, opuszczonym cmentarzysku, gdzie na kształt olbrzymich nagrobków stoją niemi świadkowie straszliwych katastrof świata, potężnie spiętrzone turnie... i zaiste jak prawdziwe pomniki przeszłości chylą się do upadku, waląc się w gruzy i krusząc, oszroniałe wiekiem skalne olbrzymy, pod straszliwymi razami młota czasu...

We Francji podobnie jak i w Szwajcarii, dwa światy ludzkie istnieją tuż koło siebie, a przecież od siebie niezależne, niestykające się. Jeden, to wielki świat, co żyje zapachem benzyny, ruletką i flirtem, drugi—nieliczny i niepozorny—to szara brać z workiem na plecach i czekaniem w rękę. Gdy w Niemczech co drugi człek uważa się za alpinistę, a każdy niemal za turystę, gdy nawet babcie-staruszki uważają za swój święty obowiązek na niedzielę podpiąć spódnicę, bodaj pustą workę włożyć na plecy, kapelusz ozdobić kupioną oczywiście wiązką szarotek—i zgrabię od drutów palce uzbroić w kij alpejski—to tutaj workę, czekana i lina—to najistotniejszy dowód prawdziwej potrzeby, to rzetelna odznaka arystokratyczna, wyróżniająca niewielu z pośród licznych rzesz cyganerii turystycznej.

A nasza imitacja pociągu zawzięcie pnie się ostro w górę; miejscami dolina się rozwidnia, skały się rozstępują, jak pod czarodziejskim zaklęciem—i coraz szerzej nieuchwytnie, obłoczne pola lodowców i śniegów wypierają niebo. To Mont Blanc! Dreszcz ochoty, ale i niepokoju chwyta za serce. A cudne zjawisko to chowa się, to znowu wychyla, białe, czyste, uśmiechnięte, a tak dalekie, że chyba do końca życia doń nie dojedziemy, a tak wysokie, że skrzydeł Dedala potrzeba, by osiąść na tej cudnej, delikatnej oponie.

Lecz zwolna widziadło traci coraz więcej swój czar nieuchwytny; oko zaczyna coraz wyraźniej rozróżniać poszczególne piętra, grzbiety i długie sino-popielate języki lodowcowe.

I oto przed nami, jak u wrót raj, roztwiera się rozległa skąpana w pełnych promieniach słońca, prześliczna dolina Chamonix.

Wśród bujnej zieleni, na tle białych pól śnieżnych i różowych skał pstrzą się barwne plamy pięknego letniska. Na świat komfortu i elegancji, u krańców ludzkiego istnienia wycęzała się ludzka kultura, ale czyż może choćby najpiękniejsze miasto zainteresować, gdy wzrok ulata tam na białe pola, co tajemniczo ku sobie wołają. Chwilę skupionej uwagi poświęcamy wspnianemu pomnikowi, upamiętniającemu pierwsze, a tak na owe czasy trudne zdobycie szczytu Mont Blanc. Wyniosła, spiżowa postać genialnego Saussuer'a z lunetą w ręku, śledzi pilnym okiem główny wierzchołek, ku któremu niżej umieszczona postać saussurowego przewodnika Jakóba Balmata wyciągniętą prawicą wskazuje. Ujęcie grupy w artystyczną całość jest zgoła niepowседневnie. Zapewne artysta sam musiał być zapalonym alpinistą, gdyż w dzieło swe, a przedewszystkiem w postać Balmata włożył tyle natchnionego zapału, iż pod jego wpływem niepowstrzymany, iście hipnotyczny pęd woła przechodnia, by korzystał z życia, słońca i sił i, w ślad za wyciągniętą prawicą Balmata podążał tam, wysoko, wyżej chmur, świata i ludzi — w bezkresne zaświaty szczytowe. Jakaś żelazna zawziętość budzi się w człeku — chciałoby się wichrem gnać po górnych sferach.

Więc dalej do dzieła! Szybko jak w naszych rodzimych Tatrach robimy najniezbędniejsze zakupy do wycieczki. Idziemy bez przewodnika. Wreszcie budzi to pewne niedowierzanie, ale choćby ze względów oszczędnościowych nie możemy sobie na taki zbytek pozwolić. Jest nas pięciu — i musimy sobie wzajem wystarczyć tam, gdzie zwyczajny zachodnioeuropejski turysta potrzebuje zwykle kilku przewodników i tragarzy, którym za pomoc, ciężkie trudy i niebezpieczeństwa setkami franków wypycha kieszenie. Dwie liny, czekany i raki — to nasi tragarze, a mapa i kompas — to nasi przewodnicy!

A potężny olbrzym osiwiwały wiekiem, imponujący swym rozmiarem z góry na nas spoziera i szeroko rozwaliwszy swe niezgrabne cielsko długimi językami lodowców z wrażą obojętnością wylega się na rozkosznej dolinie. Dalej na lewo od nas ciągną się łańcuchy złowrogich iglic, śmiało, jak najdelikatniejsze wieżycyce tumów gotyckich prują chmury lub roz-

rywają błękitne przestworza niebios. Tu i owdzie czarne skały w prostopadłych ścianach spadają na czystą biel śniegową, strasząc swą niedostępnością lekkomyślnych ochotników, marzących o ich zdobyciu.

Wcześniej trzeba udać się na spoczynek, gdyż nazajutrz czeka nas długa i żmudna droga. Noc przelatuje, choć zrazu bezsenna, pełna zmiennych obrazów i nadziei, ciało odpoczywa, ale duch pracuje. Nie można psuć sławy polskim taternikom, a choć i trwożne przywidzenia przebiegają myśli, przecież w tem naszym „jakoś to będzie” co to podobno Bartkowi pod Gravelotte uratowało życie, zdawszy się na los szczęścia — zasypiamy.

Jeszcze daleko było do świtu, a już jeden z najuczujniejszych towarzyszy zrywa się i budzi nas do pochodu. Śpiesznie popijamy to, co we Francji nazywa się kawą, a jest nędzną lurką bez smaku i zapachu, z wyglądu zaś barszcz przypomina — migiem zbieramy manatki i mrokiem jeszcze ruszamy w drogę.

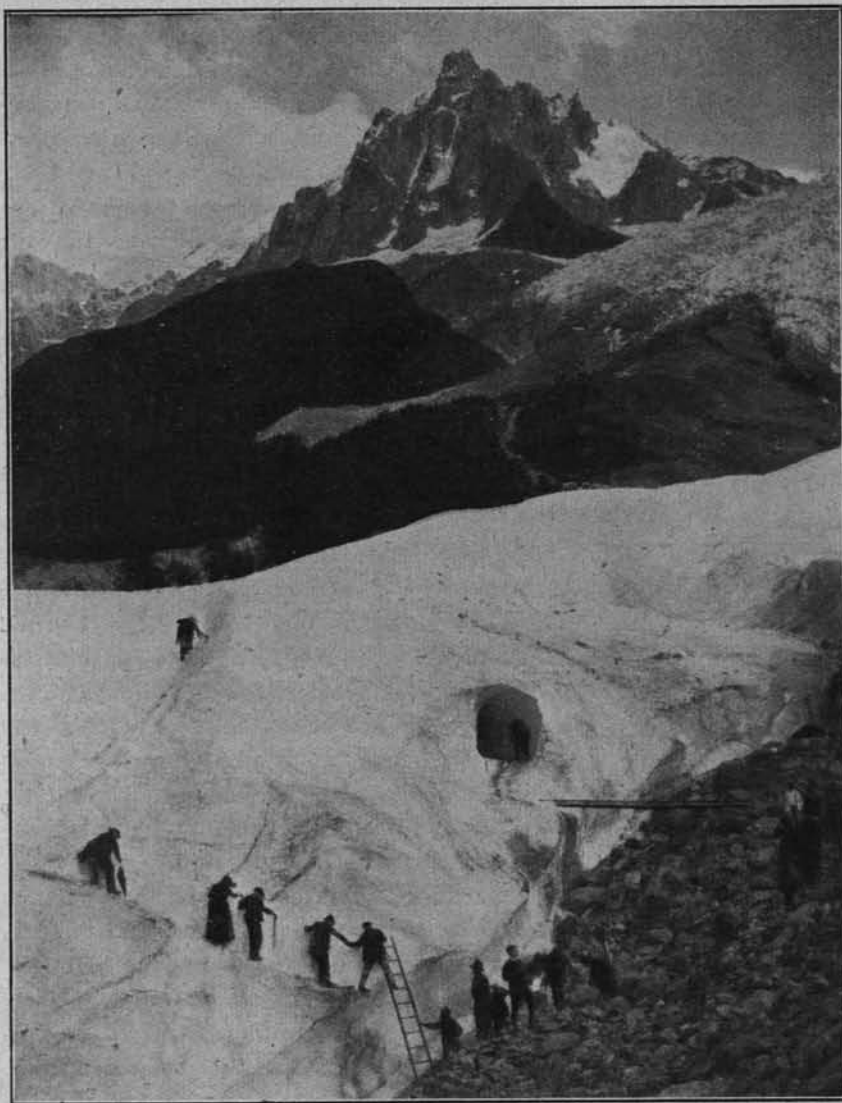
W miasteczku służą nam za drogowskaz rzęsiście oświetlone okna „Casino”, gdzie zapewne „le grand monde” francuski wytwornie i niedbale sypie ludwikami, zostawiając kasyno na uboczu, wnet pograżamy się w las świerkowy, nie tak jednak bogaty i dziewiczy jak nasz karpacki, bo praktyczność francuska parkowo go ukształtowała — i wchodzimy ścieżką w zakosy wiodącą na stok Mont Blanc. Zaczyna już świtać. Pogodna jutrzeńka, niebo bez chmur, noc ciepła i czarowna przypomina, żeśmy w cieplejszych, niż nasze okolicach, choć powyż 1000 m. się znajdujemy.

Zwolna „kupą” posuwamy się w górę; gdzieniegdzie mijamy drobne chatynki, w których za dnia babiny sprzedają mleko krowie i kozie, ale obecnie ciche one i jakby wymarłe. Co chwila z za drzew, na równej wysokości z nami pobłyskują lśniące białe, poszarpane, niby złośliwie posiekane płyty lodowca du Bossons. Im wyżej wznosimy się garbem po wschodniej jego stronie, tem potężniejszą masą odsłania się on naszym oczom. Niby olbrzymia rzeka wlewa się aż na poziom samej doliny Chamonix, wśród gęstej girlandy leśnej, a u swego ujścia otoczony zwałami moren kamiennych, pełen plusku i szumu wód, tocących się po jego powierzchni i w tajemnej

głębi, coraz groźniej, coraz potężniej się przedstawia niby niepojętych rozmiarów wodospad, zamarły w swym beznadziejnym rzucie w dół. Wżarty głęboką rynną w skaliste ściany toczy swe mętne cielsko, aż gdzieś już w dole obejmą go ciemną zielenią lasy świerkowe. Pobok

robocze. Snać, nie braknie amatorów i nadobnych amateerek do bujania jak ptak ponad lodowcami, do spadania na złamanie karku, do hysterji, płaczu, rzucania się odważniejszym w ramiona dla utulenia i szukania pomocy.

Świerki coraz bardziej karłowate, coraz rzadziej stają od siebie a odstępy między nimi wypełnia coraz bujniej, coraz wszechwładniej tak piękny, gdy zakwitnie, a obecnie tylko lśnięciami listeczkami zwracający na się uwagę—rózaniecznik alpejski. Ach, prawda—użyłem słowa niezrozumiałego, bo u nas znanym jest jako roślina hodowana pod nazwą rododendronu. Drobne krzaczki jałowca alpejskiego i szerokie darnie różaniecznika zastępują tutaj miejsce naszej pocziwej kosowki. Próżnobyśmy tutaj szukali tego nieodłącznego towarzysza naszych halnych rejonów niemasz go tu ni w strefie hal trawiastych, ni na turniach iglastych. A i hale mają wygląd odmienny od naszego. Nie trawa tu przeważa, ale cudne kwiaty, jak: goryczki, jaślinki, gruszyczki, dzwonki, astry i fijołki alpejskie i wiele, wiele innych, nieraz przepięknych kształtem swym i barwą. Kwiaty te tworzą wprost zwarte kobierce, iż wystarczy na oślep wyciągnąć



Ryc. 26. LODOWIEC DES BOSSENS, GROTA LODOWCOWA I SZCZYT AIGUILLE DU MIDI.

nas linją prosto wytyczoną, jak na mapie, ciągnie się od samej doliny wyżej, niż na razie oko nasze sięgnąć może, szereg żelaznych rusztowań. To kolej powietrzna! Na pierwszy rzut oka widać, że robota rażno postępuje, w dolnych partjach już są czynne drobne wózki, które ku zawrotnym szczytom na odległość trzech kilometrów windują potrzebne materiały

nać rękę, a uchwycisz za każdym razem nowy, a zawsze piękny okaz. Wszak nie napróżno Mont Blanc nosi nazwę najbogatszej florystycznie góry świata. Niemal dziewięć dziesiątych całej flory alpejskiej zebrało się w przepyszne gazony w obrębie łańcucha „białogórskiego”, który nie tylko z granitów, ale także i z gnejsów, łupków, ba, nawet wapieni się składa—

słowem, wszechstronne warunki bytu, właściwe światu wysokogórskiemu cechują pasmo Mont Blanc. Jakby natłoczone w czarodziejskim ogrodzie tulą się wdzięczne główki kwiatowe, sperlone tęczowemi kropelkami rosy, drżące jakby z obawy, by ich nielitościwa ręka przychodnia nie zerwała. Kraśne motyle rażno uwijają się w powietrzu, niewidzialne w locie muszki, czasem tylko zatrzymując się nagle, jakby niezdecydowane, w którą rzucić się stronę, brzęczą na okół, z dali z doliny dolatują jasne dźwięki pastuszych dzwonek—miło i radośnie wędruje się w łagodnych promieniach słońca. Upał nie dokucza, bo słońce stoi jeszcze nisko u wschodu, więc w błogim zachwycie, jednostajnie i powoli a z silną nadzieją w sercu wznosimy się coraz wyżej i wyżej...

Ciągle jeszcze towarzyszą nam co sto kilkadziesiąt kroków podmurowania kamienne; żelazne liny i potężne sztaby leżą obok stosami; za dwa lata ma być budowa kolejki ukończoną a doprowadzać ma aż na wspaniały szczyt Aiguille du Midi.

Gdzieś wysoko nad nami widać już powiewającą dumnie trójbarwną flagę Francji republikańskiej—to schronisko Pavillon des Pierres-Pointus (2049 m.). Lecz szybko je mijamy i wstępujemy na ścieżkę kutą w granitowej ścianie, opadającej potężną przepaścią ku podartym polom lodowca du Bosson. Jak na dłoni dostrzegamy już cel dzisiejszej wędrowki—grupę ostrych, samotnych, czarnych skałek, położonych wśród rozległych pól śniegowych, gdzie ma się znajdować nasze schronisko na dzisiejszą noc.

Wokół nas roślinności coraz mniej. Na ociekających wodą zboczach skalnych, między załomami w drobnych miedniczkach, gdzie mogła się nagromadzić garsteczka próchnicy, tulą się drobnutkie kwiatuszki, jakby przelęknione swą własną odwagą, że zagościły w krainy straszliwe, gdzie zewsząd szczyrzy do nich swe białe zęby, odwieczny ich wróg—śnieg i lód. Jakby sztucznie przeniesione w obce im sfery czarnych skał i gór lodowych, wiodą z wysiłkiem swój romantyczny żywot; chronią się przed mrozem, tworząc gęste poduszeczki obumarłych liści, otulające je na kształt delikatnej kołderki, chronią się nawet przed zbytnią spiekotą słońca, które snadnie może im wyrządzić

niedzwiedzią przysługę i pokrywają zielen listeczków gęstym, białym włosem, naogół żyją tylko w promieniach słońca, zaraz bowiem stulają swe listki i zamykają koronę kwiatu, skoro tylko słońce życiodajne zniknie z horyzontu. Biedne roślinki w głodzie i chłodzie żyją, ale tem piękniejsze zdają się być i tem droższe dla oka i pamięci.

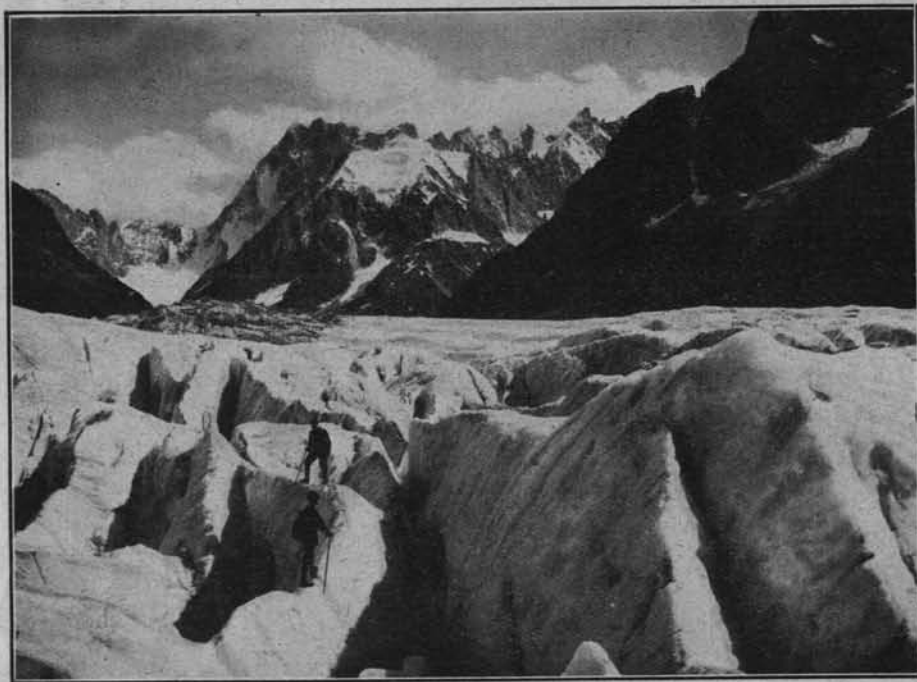
Ścieżka nasza wiedzie nas wyżej i wyżej, już i klamry żelazne, łańcuchy i schody kute w litej skale trzeba nam mijać; miejscami ściany stają się tak prostopadłe, że zdają się na nas walić, to znów wchodzimy w kociołkowate zagłębienia, gdzie cudna zielen i kwiatów moc czarowne ogródki tworzy. Ale skał coraz więcej, coraz rzadsze, niepozorniejsze i niklejsza trafiają się roślinki; zimne strugi wody płyną po gładkich, polerowanych, brzuchatych skałach—to ślady niezawodne, że dawniej i tędy rzeka lodowcowa płynęła. Wreszcie wstępujemy na lite skały z porozrzucanemi blokami granitu—prawie bez śladu wegetacji, gdzie postanawiamy mimo wczesną porę wypocząć i coś przekąsić, bo obecnie nowy etap drogi przed nami się otwiera. Opuścić trzeba skały, ubrać zaś na buty żelazne raki, przewiązać się liną—i szukać przejścia między pionowemi rozpadlinami lodowca.

Dalszą drogę widać dopiero w pewnej odległości od nas, ale w bezpośrednim pobliżu zjeżone zwały lodowca posypane miałem i okruciami skalnymi tumanią nas gruntownie. Wszędzie ten sam obraz: ostry, pionowy brzeg skały spada w stronę lodowca, jakgdyby do rowu kilkanaście metrów szerokiego, za którym wznosi się kilkumetrową, pionową ścianą brzeg wspiętej, skostniałej w swym biegu rzeki lodowej. Nigdzie nie można dopatrzeć się przejścia, nigdzie śladu ścieżki, a raczej naodwrot wszędzie można dopatrzeć się śladów ludzkich stóp—tam nawet, gdzie one nigdy nie stały.

Co chwila dolatują nas piekielne łaskoty walących się bloków lodowych; trzask i huk potężny, jak strzałów armatnich, złowrogiem echem rozlega się wokół, odbijając się wielokrotnie od stromych, niewiarogodnie prostopadłych ścian Aiguille du Midi. Zwyczajny to obraz świata lodowcowego w godzinach południowych pełnego skwaru słonecznego, a dla

nas, nienawykłych do tych pragłosów natury— to obraz pełen wstrząsających wrażeń i wzruszeń. Próżno staramy się wytłumaczyć sobie, że to działanie zwyczajne promieni słońca, pod wpływem których wierzchnie warstwy lodu topnieją i niezliczonymi strugami żłobią bruzdy, podmywają i rujną wyniosłe, fantastyczne szczyty lodowe, które wśród obłoków, wzbijających się tumanów pyłu śniegowego, wałęsają się i druzgocą, trwogą napelniając serca tych, co się przypadkiem w ich pobliżu znajdują. Lodowiec żyje. Powoli ale stale spływa ku dołowi, zmieniając zwolna oblicze swej powierzchni.

się i w dwu partjach, przewiązawszy się linami, wstępujemy ostrożnie na niebezpieczne słupy lodowe. Radosny okrzyk jednego z towarzyszy zwiastuje odnalezienie ścieżki— i ze zbyt ostrożnością, próbując co chwila czekaniem wytrzymałości lodu, przebywamy pierwsze „mostki”, zawieszane nad czarnymi szczelinami w cudnie błękitnym lodzie. Z trudem mijamy podarte strzępy lodowca i wdzieramy się na jego pola zwolna, ale ustawicznie liną falistą wznosząc się— lecz droga nasza wypada po przekątni. Mamy bowiem niemal w poprzek przejść przez nasadę lodowca— du Bos-



Ryc. 27.

MEER DE GLACE POD CHAMONIX.

Z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień zmienia się lodowiec do niepoznania. Gdzie raz były łatwe przejścia, tam niebawem tworzą się bezdenne, szczeliny, zionące czarną, niezglębioną czeluścią. Ile z nich było świadkiem tragicznych zdarzeń, o tem rzadka tylko można się przekonać, bo każda szczelina po pewnym czasie zamyka się, więżąc nieraz jak w grobowcu swe nieszczęsne ofiary. Dopiero daleko w dole, u swych wrót wyrzuca lodowiec po wielu dziesiątkach lat resztki i strzępy, nieraz jak żywo zachowanych ciał nieszczęśliwych ofiar.

Lecz czas drogi; każdy przyrządza sobie z pośpiechem posiłek, za kwadrans zrywamy

destylowanej wody lodowcowej pić nie można— więc jeden drugiego przestrzega, ale... sam pije. Gdzieniedzie rwące strumyki w wąskich korytach pluszczą się po lodzie, jakby z tem sztucznem dla wody środowiskiem żyły w najlepszej zażyłości. Ale to tylko słońce powołuje je do życia, tylko w niewielu południowych godzinach tają wierzchnie warstwy lodu i śniegu i w rwących strumieniach przepadają w szczelinach. Gdzieniedzie w zagłębieniach lodowych nawet tworzą się bajecznie błękitno lub zielono-okie jeziora, by wieczorem pokryć się taflą lodu i zamrzeć aż do dnia następnego.

son tak, by doszedłszy do nasady jego sąsiada, nierównie szerszego, ale krótszym językiem spływającego w dół lodowca du Taconnaz, wspinać się na ich Junction prosto w górę. Mijają kwadrans, trzeba wdziać czarne okulary, nacierać twarz „kremem du Mont Blanc”, bo słońce na lodowcu w obfitych promieniach od zwiercadelnej, oślepiającej tafli lodu dokucza i pali niemiłosiernie. Gorączkowe pragnienie się odzywa, ale niemal

A słońce dokucza i pali! Mimo smarowania się kremem, czujemy, że skóra zsycha się od żaru, pierzchnie i pęka i piecze. Oczy od nawału światła się mrużą, głęboko więc na nos nasuwamy czapki, na kark i uszy zapuszczamy klapy — i maszerujemy.

W cieniu fantastycznych, lodowych wrót wypada nam pierwszy odpoczynek na lodzie. Usiąść nie można bez obawy przymarznięcia, więc stojąco, oparci o czekany w chłodnym cieniu wyczekujemy zdyszanymi piersiami powrotu sił.

I znowu teren lodowy się zmienia! Musimy przejść przez słynne Junction, linię zetknięcia się lodowców du Bosson i de Taconnaz. Pierwszy z nich opadający gwałtownie z pod Aiguille du Midi i Mont Maud't w przerażająco porozwalanych, kilkudziesięcio-metrowych stopniach, płynie tu korytem niższem, oddzielony od pól śniegowych, skąd bierze początek Glacier du Taconnaz, długim szeregiem ostrych skałek, zwanych Grands Mulets, Rocher Pitschner i Rocher de l'heureux Retour — i tu, gdzie styka się złagodniały już w swym spadku ze swym zachodnim sąsiadem — spada na niego niewstrzymanym pędem cała boczna masa sąsiada, zapełniając różnicę poziomów zwałem poobrywanych gór, łańcuchów i bloków lodowych. Przejście tędy jest chwilami nader niebezpieczne; głębokie przepaści, pionowe ściany, olbrzymie masy ledwo trzymających się siebie bloków lodowych grożą natychmiastowym zawaleniem. Zaczyna się prawdziwa „drapaczka” po lodowcu jak po skale; w oślizgłych ścianach trzeba rąbać stopnie, szukać chwytów dla marznących rąk, próbować, czy lodowe półki, zwodniczo zwisające, wytrzymują ciężar ciała. Lecz wszystko idzie jak z płatka. Z przeciwległej strony zjeżdża ku nam z zadziwiająco wprawą dwu tragarzy, którzy nawet nie ruszając nogami, sterując tylko czekaniem jak na nartach suną w dół swobodni, wyprostowani, boć im zabawką to przejście, gdy kilkadziesiąt razy do roku do pobliskiego schroniska donoszą żywność i napoje z Chamonix.

Już głosy osób siedzących w schronisku dolatują do nas. Jesteśmy śledzeni z góry, więc każdy dobywa ostatka sił, a przecież kwadrans mijają, a drogi niemal nie ubywa. Wreszcie mijamy ostatnie stopnie Junction

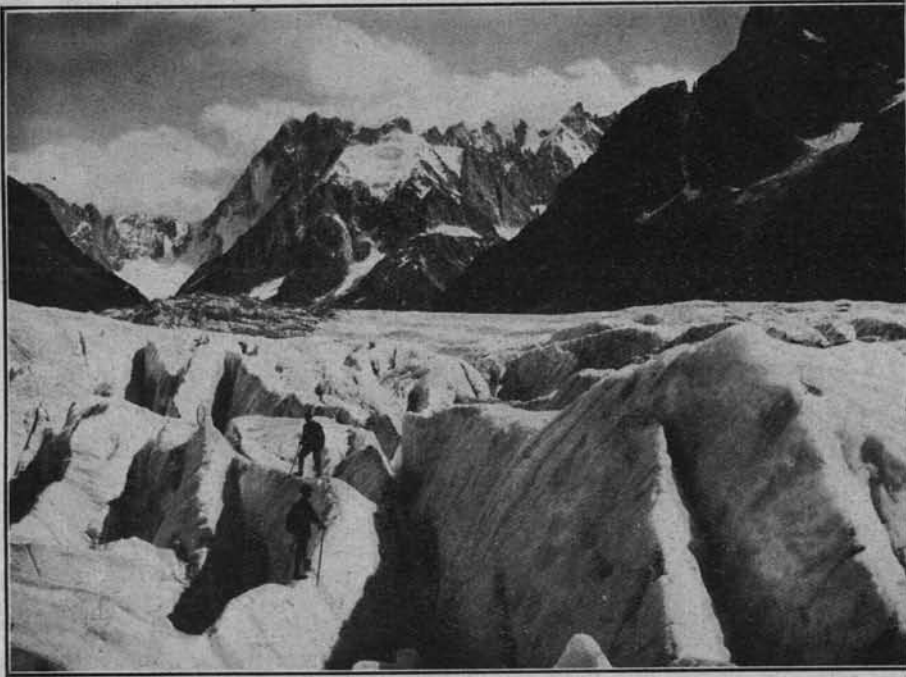
i wchodzimy na litą ławę lodową, poprzerynaną zrzadka, ale zato potężnymi szczelinami; w jednym miejscu ustawiona drabina ułatwia nam przejście, pozatem własnym sprytem i zręcznością trzeba sobie i towarzysząco utrować drogę. Południe mija, roztopiony żarem słonecznym śnieg rozmiękł tak, że nogi aż do kolan zapadają się w pulchną masę. Krok za krokiem, drżące członki wydobywamy, by nieraz nagle aż po pas się zapaść. Nogi toną jak w uwięzi błotnej, a tem niebezpieczniej, że z wierzchu pyszny, świeży śnieżek przykrywa nieraz zdradliwe jamy, rozpadliny i przepaści, które się otwierają dopiero pod ciężarem zapadającego się ciała. Nieraz krok postawiony, zdawałoby się na pewnym gruncie, nagle przy przesunięciu ciała naprzód, traci podstawę; tonie się nieraz po pas, lecz lina robi swoje. Idziemy w szerokim odstepie, starając się jeden drugiemu wskazywać trudne i zwodnicze miejsca, ubezpieczając się liną, jak i o ile się da. Nieraz przodownik pochodzący przechodzi szczęśliwie, a dopiero któryś z tyłu idących zapada się i wymaga pomocy. Tak w zmiennej losów kolei „raz na górze, raz na dole”, dobywając ostatka sił, „śpieszymy się powoli” w górę. Nieraz znużony towarzysz zapadłszy się w szczelinę po pas i głębiej, nie myśli zaraz jej opanować, ale głęboko dysząc, czeka, rozłożywszy się wygodnie, nim zbawcza lina zacznie działać.

Jeszcze chwila — i wreszcie podchodzimy do podnóża skały, na której szczycie w odległości kilkunastu metrów tuż ponad nami, na miejscu wysadzonem dynamitem wznosi się niewielki budynek jak orle gniazdo przyklepiony do skały; to upragnione nasze schronisko Cabanne des Grands Mulets na wysokości 3050 m.

Na lodowe pola podbiegunowych okolic zdaje się wędrowiec przeniesionym. Zewsząd otaczają go góry lodowe i śnieżne pola, dopiero gdzieś w dali widnieją nagie strzępy skał tu i owdzie. Jedyne w dole, w dolinie Arvy, skąd żaden głos nie dochodzi, widne jak na dłoni miasteczka, wioski i osady w ramach bujnej zieleni. aż hen po błękitną szybę Lemanu gubi się wzrok w barwnej pomroce. Naogół ciszę przerywają coraz radsze grzmoty toczących się lawin i walących się gór lo-

nas, nienawykłych do tych pragłósów natury— to obraz pełen wstrząsających wrażeń i wzruszeń. Próżno staramy się wytłumaczyć sobie, że to działanie zwyczajne promieni słońca, pod wpływem których wierzchnie warstwy lodu topnieją i niezliczonymi strugami żłobią bruzdy, podmywają i rujnują wyniosłe, fantastyczne szczyty lodowe, które wśród obłoków, wzbijających się tumanów pyłu śniegowego, walą się i druzgocą, trwogą napełniając serca tych, co się przypadkiem w ich pobliżu znajdują. Lodowiec żyje. Powoli ale stale spływa ku dołowi, zmieniając zwolna oblicze swej powierzchni.

się i w dwu partjach, przewiązawszy się linami, wstępujemy ostrożnie na niebezpieczne słupy lodowe. Radosny okrzyk jednego z towarzyszy zwiastuje odnalezienie ścieżki— i ze zbytnią ostrożnością, próbując co chwila czekaniem wytrzymałości lodu, przebywamy pierwsze „mostki”, zawieszane nad czarnymi szczelinami w cudnie błękitnym lodzie. Z trudem mijamy podarte strzępy lodowca i wdzieramy się na jego pola zwolna, ale ustawicznie liną fallistą wznoszące się—lecz droga nasza wypada po przekątni. Mamy bowiem niemal w poprzek przejść przez nasadę lodowca du Bosson tak, by doszedłszy do nasady jego sąsiada, nierównie szerszego, ale krótszym językiem spływającego w dół lodowca du Taconnaz, wspinać się na ich Junction prosto w górę. Mijają kwadranse, trzeba wdziać czarne okulary, nacierać twarz „kremem du Mont Blanc”, bo słońce na lodowcu w obfitych promieniach od zwierc'adlanej, oślepiającej tafli lodu dokucza i pali niemiłosiernie. Gorączkowe pragnienie się odzywa, ale niemal



Ryc. 27.

MEER DE GLACE POD CHAMONIX.

Z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień zmienia się lodowiec do niepoznania. Gdzie raz były łatwe przejścia, tam niebawem tworzą się bezdenne, szczeliny, zionące czarną, niezgłębianą czeluścią. Ile z nich było świadkiem tragicznych zdarzeń, o tem zrzadka tylko można się przekonać, bo każda szczelina po pewnym czasie zamyka się, więżąc nieraz jak w grobowcu swe niefortunne ofiary. Dopiero daleko w dole, u swych wrót wyrzuca lodowiec po wielu dziesiątkach lat resztki i strzępy, nieraz jak żywo zachowanych ciał nieszczęśliwych ofiar.

Lecz czas drogi; każdy przyrządza sobie z pośpiechem posiłek, za kwadranse zrywamy

destylowanej wody lodowcowej pić nie można— więc jeden drugiego przestrzega, ale... sam pije. Gdzieniedzie rwące strumyki w wąskich korytach pluszczą się po lodzie, jakby z tem sztucznem dla wody środowiskiem żyły w najlepszej zażyłości. Ale to tylko słońce powoduje je do życia, tylko w niewielu południowych godzinach tają wierzchnie warstwy lodu i śniegu i w rwących strumieniach przepadają w szczelinach. Gdzieniedzie w zagłębieniach lodowych nawet tworzą się bajecznie błękitno lub zielono-okie jeziora, by wieczorem pokryć się taflą lodu i zamrzeć aż do dnia następnego.

A słońce dokucza i pali! Mimo smarowania się kremem, czujemy, że skóra zsycha się od żaru, pierzchnie i pęka i piecze. Oczy od nawału światła się mrużą, głęboko więc na nos nasuwamy czapki, na kark i uszy zapuszczamy klapy — i maszerujemy.

W cieniu fantastycznych, lodowych wrót wypada nam pierwszy odpoczynek na lodzie. Usiąść nie można bez obawy przymarznięcia, więc stojąco, oparci o czekany w chłodnym cieniu wyczekujemy zdyszaniem pierściami powrotu sił.

I znowu teren lodowy się zmienia! Musimy przejść przez słynne Jonction, linię zetknięcia się lodowców du Bosson i de Tacconnaz. Pierwszy z nich opadający gwałtownie z pod Aiguille du Midi i Mont Maud'it w przerażająco porozwalanych, kilkudziesięcio-metrowych stopniach, płynie tu korytem niższym, oddzielony od pól śniegowych, skąd bierze początek Glacier du Tacconnaz, długim szeregiem ostrych skałek, zwanych Grands Mulets, Rocher Pitschner i Rocher de l'heureux Retour — i tu, gdzie styka się złagodniały już w swym spadku ze swym zachodnim sąsiadem — spada na niego niewstrzymanym pędem cała boczna masa sąsiada, zapełniając różnicę poziomów zwałem poobrywanych gór, łańcuchów i bloków lodowych. Przejście tędy jest chwilami nader niebezpieczne; głębokie przepaści, pionowe ściany, olbrzymie masy ledwo trzymających się siebie bloków lodowych grożą natychmiastowym zawaleniem. Zaczyna się prawdziwa „drapaczka” po lodowcu jak po skale; w oślizgłych ścianach trzeba rąbać stopnie, szukać chwytów dla marznących rąk, próbować, czy lodowe półki, zwodniczo zwisające, wytrzymują ciężar ciała. Lecz wszystko idzie jak z płatka. Z przeciwległej strony zjeżdża ku nam z zadziwiającą wprawą dwu tragarzy, którzy nawet nie ruszając nogami, sterując tylko czekaniem jak na nartach suną w dół swobodni, wyprostowani, boć im zabawką to przejście, gdy kilkadziesiąt razy do roku do pobliskiego schroniska donoszą żywność i napoje z Chamonix.

Już głosy osób siedzących w schronisku dolatują do nas. Jesteśmy śledzeni z góry, więc każdy dobywa ostatka sił, a przecież kwadrans mijają, a drogi niemal nie ubywa. Wreszcie mijamy ostatnie stopnie Jonction

i wchodzimy na litą ławę lodową, poprzerzynaną rzadką, ale zato potężnymi szczelinami; w jednym miejscu ustawiona drabina ułatwia nam przejście, pozatem własnym sprytem i zręcznością trzeba sobie i towarzyszącom utrować drogę. Południe mija, roztopiony żarem słonecznym śnieg rozmiękł tak, że nogi aż do kolan zapadają się w pulchną masę. Krok za krokiem, drżące członki wydobywamy, by nieraz nagle aż po pas się zapaść. Nogi toną jak w uwięzi błotnej, a tem niebezpieczniej, że z wierzchu pyszny, świeży śnieżek przykrywa nieraz zdradliwe jamy, rozpadliny i przepaści, które się otwierają dopiero pod ciężarem zapadającego się ciała. Nieraz krok postawiony, zdawałoby się na pewnym gruncie, nagle przy przesunięciu ciała naprzód, traci podstawę; tonie się nieraz po pas, lecz lina robi swoje. Idziemy w szerokim odstępnie, starając się jeden drugiemu wskazywać trudne i zwodnicze miejsca, ubezpieczając się liną, jak i o ile się da. Nieraz przodownik pochodzący przechodzi szczęśliwie, a dopiero któryś z tyłu idących zapada się i wymaga pomocy. Tak w zmiennej losów kolei „raz na górze, raz na dole”, dobywając ostatka sił, „śpieszmy się powoli” w górę. Nieraz znużony towarzysz zapadłszy się w szczelinę po pas i głębiej, nie myśli zaraz jej opanować, ale głęboko dysząc, czeka, rozłożywszy się wygodnie, nim zbawcza lina zacznie działać.

Jeszcze chwila — i wreszcie podchodzimy do podnóża skały, na której szczyt w odległości kilkunastu metrów tuż ponad nami, na miejscu wysadzonego dynamitem wznosi się niewielki budynek jak orle gniazdo przylepiony do skały; to upragnione nasze schronisko Cabanne des Grands Mulets na wysokości 3050 m.

Na lodowe pola podbiegunowych okolic zdaje się wędrowiec przeniesionym. Zewsząd otaczają go góry lodowe i śnieżne pola, dopiero gdzieś w dali widnieją nagie strzępy skał tu i owdzie. Jedyne w dole, w dolinie Arvy, skąd żaden głos nie dochodzi, widne jak na dłoni miasteczka, wioski i osady w ramach bujnej zieleni. aż hen po błękitną szybę Lemanu gubi się wzrok w barwnej pomroce. Naogół ciszę przerywają coraz radsze grzmoty toczących się lawin i walących się gór lo-

dowych. Czasem chmura pyłu wskazuje miejsce, skąd za chwilę stokrotnem echem rozlegną się wstrząsające nerwami odgłosy piekielne. Lecz na wyniosłym miejscu czujemy się bezpiecznie, nic nam tu nie grozi—cisza i spokój grobowy nas otacza. Wtem znowu gwałtowny huk wstrząsa powietrzem... w uszach aż dzwoni... Obcemi wydają się nawet nasze głosy. Toż każdego chęć mówienia odbiega...

A tam w górze, przed nami ciągną się na pozór połogie zbocza śniegowe i wznoszą się niemal jednostajnie aż ku pochylonemu garbowi głównego szczytu. Słońce jasno je oświeca; zda się, że żar od nich bije. Niepokój jakiś czy lęk duszę owłada przed dalszą drogą, przenikliwy jakiś ból głowy dokucza—sennie, ze znużenia chyli się głowa do spoczynku...

(Dok. nast.).



Kazimierz Moszyński.

## NIEKTÓRE WYNIKI ETNOGEOGRAFICZNYCH BADAŃ POLSKI.

Polska dla badań etnogeograficznych przedstawia najwdzięczniejsze w Europie pole. Raz dlatego, że zawiera w sobie znaczne terytoria izolowane (wschodnie Podlasie i Polesie), które przechowały wiele typów prymitywnych. Powtórę, ponieważ dzięki poleskiemu klinowi, wschodnia jej część została ostro rozbita na dwie połowy, między którymi dyfundowanie wpływów kulturalnych było wysoce utrudnione a to uchroniło czyste typy miejscowych wytworów kulturalnych od zmieszania w kierunku południkowym. Potrzebie dlatego, że leży na wielkich szlakach etnicznych, idących od czterech stron świata (od Bałtyku, Bramy Morawskiej, Dzikich Pól, Bramy Smoleńskiej) i tworzących węzeł etniczny w dorzeczu Wisły, co m. in. znalazło zewnętrzny wyraz w czasach historycznych w spotkaniu się tam wielu różnych gwar: polskich, pruskich, litewskich, białoruskich i małopolskich. Po czwarte — ponieważ prawie wszystkie te szlaki były równocześnie drogami, po których dokonywała się oddawna ekspansja wielkich kultur. Z północnego zachodu szła kultura ludów żeglarskich Skandynawji i wysp oraz półwyspów sąsiednich; z pld.-zachodu i pld.-wschodu — kultury rolnicze, przesiąknięte wpływami cywilizacji nadśródziemnomorskich; od stepu wreszcie — kultura koczowników, przynosząca wpływy dalekich krajów azjatyckich. Wszystkie te prądy

micszały się na terytorjum środkowej i wschodniej Polski z miejscową myśliwsko-rybacką kulturą leśną, posiadającą żywe związki z północnym wschodem Europy i północą Azji. Kultura więc obszarów, zajętych dziś przez Polskę, nigdy nie była dla całego obszaru jednostajna. Prehistorja wskazuje odwieczne, głęboko różniące się prowincje. Zwłaszcza Pomorze z częścią Wielkopolski, Śląsk z częścią Małopolski, Pokucie z Podolem i Ukrainą, Litwa z Białorusią zdają się dawać nieraz w ciągu jednej i tej samej epoki przedhistorycznej bardzo różniące się obrazy.

Chodziłoby o wyjaśnienie, czy i w jakim stopniu również i dzisiejsza kultura ludowa w Polsce rozkłada się na oddzielne obszary; dalej — o wskazanie, o ile ten ewentualny podział zgadza się z istniejącym podziałem dialektologicznym i antropologicznym, a następnie o próbę wytłumaczenia różnic między ewentualnymi kulturalnymi prowincjami. W tym celu w szeregu krótkich artykułów przedłożę naprzód niektóre dotychczasowe rezultaty etnogeograficznych poszukiwań odnośnie do oddzielnych wytworów, zaś w zakończeniu postaram się dać próbę, syntetyzującą wyniki poszczególne. Jest oczywiście, że tego rodzaju dochodzenia mogą rzucić światło na dawne stosunki etniczne i zwłaszcza kulturalne oraz nawiązać terazniejszość z przeszłością.

Teoretycznie biorąc, wszystkie wytwory kulturalne ludów, zamieszkujących dane terytorjum, powinny być brane pod uwagę przez etnogeografa. Nie wszystkie jednak są dla niego równie wdzięcznym materiałem. Jedne posiadają zbyt szczupły zasięg, obejmując np. zaledwie kilkadziesiąt wsi, graniczących z terytorjum obcem; inne na znacznych przestrzeniach zanikły doszczętnie i nie sposób jest dziś ustalić, do jakiego tam należały typu; jeszcze inne na całym badanym obszarze występują w postaci mniej więcej jednolitej, odmieniając się dopiero poza jego granicami; wreszcie są i wyjątkowe wytwory, formalnie rozsypujące się na tak wiele odchyleń, że ujęcie ich kartograficzne przy ubóstwie wiadomości, jakie o nich dziś posiadamy, nie na wiele by się zdało.

W Polsce z dziedziny kultury materialnej do najciekawszych pod względem etnogeograficznym obiektów należą: kijanka, przęślica, jarzmo, wiązanie cepów, radło, nosidła oraz parę innych; z pozostałych dziedzin kultury — przede wszystkim niektóre obrzędy weselne.

Uwzględnimy tu tylko kilka z tych wytworów; przegląd zaś zaczniemy od kijanki.

## I.

### Kijanka.

W r. 1911 rozpoczął zbierać kijanki prof. Stefan Biedrzycki, a w roku następnym umieścił rozprawę na ten temat w „Ludzie”<sup>1)</sup>, słusznie podnosząc wielką etnogeograficzną wartość wspomnianego obiektu. Prof. Stefanowi Biedrzyckiemu zawdzięczamy piękną kolekcję, zawierającą łącznie z kilkunastu okazami, zakupionymi na Żmudzi przez Michała Brensztejna około 100 kijanek<sup>2)</sup>. — Zbierając materiały do obszernego syntetycznego ujęcia ludowej kultury technicznej w Polsce zwróciłem m. in. uwagę także na kijankę i w związku z tem zgromadziłem wiadomości i rysunki wzgl. okazy dla dalszych 100 punktów. Po odrzuceniu powtarzających się lub zbyt niepewnych da-

<sup>1)</sup> „Lud”, XVIII, 1912, str. 115—122.

<sup>2)</sup> Kijanki ze zbioru Brensztejna (znajdujące się obecnie wraz z kijankami, zebranymi przez prof. Biedrzyckiego w Muzeum Etnograficznym w Warszawie) były kilkakrotnie reprodukowane. Porówn. Materiały T-wa „Polska Sztuka Stosowana”, Zesz. III, 1903; Wieś Ilustrowana, 1913, wrzesień, str. 17; Tyg. Wileński, I, 911, Nr. 11—12.

nych, opracowałem załączoną mapę. Rezultaty są o wiele ciekawsze, niż się tego w swoim czasie spodziewał prof. Biedrzycki; są tak ciekawe, że zamierzam poświęcić kijance obszernie miejsce w kwestjonariuszu, obejmującym kilka najważniejszych pod względem etnogeograficznym obiektów, a który to kwestjonariusz, mam nadzieję, Departament Szkół Powszechnych zechce za pośrednictwem inspektoratów rozesłać do wszystkich szkół wiejskich do wykonania. Zanim to nastąpi, dzielę się z szerszym ogółem wynikami dotychczasowymi. Dzielę się zaś tem chętniej, że Redakcja „Ziemi” zamierza otworzyć w swem piśmie specjalną rubrykę dla poszukiwań etnogeograficznych.

\* \* \*

Narzędzia, od których bezpośrednio pochodzą najprymitywniejsze nasze kijanki są to walcowate tłuczki, używane w niektórych okolicach Polski i Rusi do obijania lnu, zaś np. na Sycylii (rys. 1) do omłócania kłosów<sup>3)</sup>. Sycylijska „mazza” jest ciekawą i z tego względu, że w formie pochodnej (rys. 2), utworzonej zapewne w celu zwiększenia powierzchni uderzania, daje nam właśnie obraz najprymitywniejszej ciężkiej kijanki półwalcowatej, używanej gdzieniegdzie na Białorusi wileńskiej, Polesiu i nad dolną Wisłą w okolicy na wschód od Grudziądza. Zwykle bywa ona lekko ku przedniemu końcowi spłaszczona. Niekiedy to spłaszczenie jest znaczne i cała zwierzchnia, przednia część zostaje ścięta. O ile to ścięcie nie przekracza linii *abd* na załączonym rysunku (rys. 3), profil kijanki nie tworzy jeszcze charakterystycznego garbu przy punkcie *a*. Krok dalej i garb ten zostanie utworzony, dając profil wzdłuż linii *acd*, *ac'd* i t. p. Kijanka garbata ma bardzo rozległy zasięg, obejmujący Żmudź, północną Białoruś, klin, uformowany przez dorzecze górnej Prypeci i środkowego Buga, część Podłasia i Mazowsza. Pojedynczo sięga nawet na lewy brzeg Wisły w okolice Nieszawy i to w formie bardzo zbliżonej do typowych żmudzko-podlaskich.

Pod względem typologicznym nie sposób jest nie zestawić kijanki garbatej żmudzko-podlaskiej z kijanką szwedzką ze Skäne<sup>4)</sup> oraz

<sup>3)</sup> Wörter und Sachen, I, 1909, str. 230.

<sup>4)</sup> Peasant Art in Sweden, Lapland and Iceland-Studio, MCMX, fig. 181.

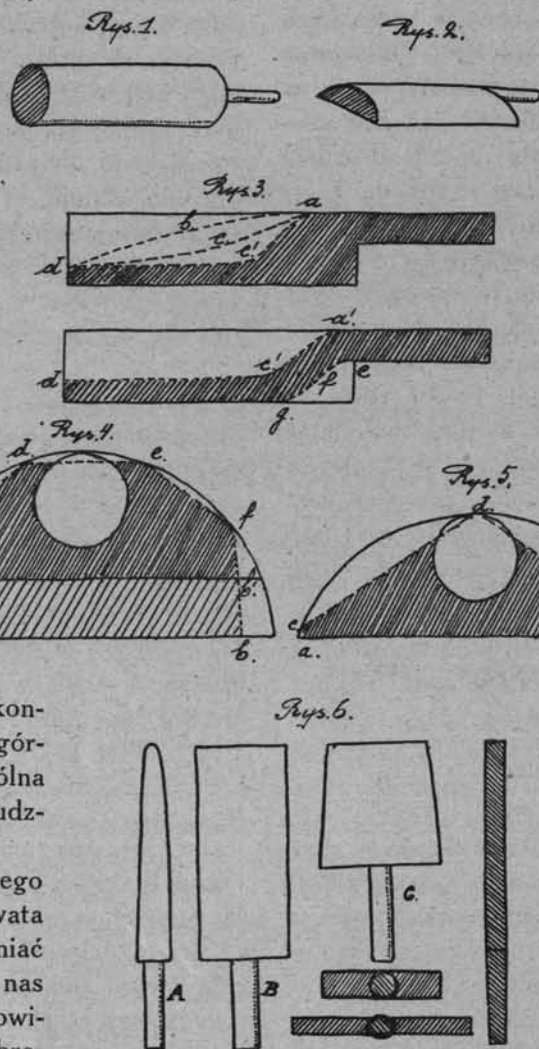
z formami duńskimi<sup>5)</sup>). Można przypuszczać, że dziwaczne kształty skandynawsko-duńskie, stanowią tylko dalsze stadium rozwojowe typu garbatego, otrzymane dzięki głębszemu wcięciu powierzchni górnej (przy *a'* zamiast *a*) oraz zaokrągleniu spodniej krawędzi pod nasadą rękojeści (wzdłuż linii *efg*). Istotnie profil w ten sposób otrzymany jest właśnie profilem kijanek duńsko-szwedzkich. Najprawdopodobniej przewodnią myślą całej tej linii rozwojowej było zmniejszenie ciężaru kijanki wobec wchodzących w użycie coraz cieńszych tkanin, do których prania służyła. W duńsko-szwedzkich typach spotykamy prócz tego ideę usuwania ostrych krawędzi. W każdym razie koncepcja głębokiego wycięcia górnej części kijanki jest wspólna typom skandynawskim i żmudzko-podlaskim.

Niezależnie od podobnego wycięcia kijanka półwalcowata pierwotna może się zmieniać i w innym, mniej tu dla nas ciekawym kierunku, mianowicie dzięki graniastemu obrobieniu górnej powierzchni (porównać rozmaite przekroje na rys. 4 i 5, charakterystyczne zwłaszcza dla Polesia).—Typowa żmudzko-podlaska kijanka garbata wytworzyła się na tle obiektów, które przedtem odbyły już wspomnianą przed chwilą ewolucję, to znaczy wytworzyła się na tle ki-

janek półwalcowatych pochodnych graniastych. To też przekrój przez nią w pobliżu rękojeści daje z reguły wielokąt.

Streszczając powyższe, stwierdzamy, że cały północny wschód Polski łącznie z częścią Mazowsza i Pomorza jest zajęty przez kijankę półwalcowatą. W formie najpierwotniejszej przetrwała ona tylko na pograniczech zasięgu w rozproszeniu charakterystycznym dla reliktyw. Wszędzie gdzieindziej została zastąpiona przez typy pochodne, przyczem główna linja ewolucji poszła w kierunku następującym. Naprzód powierzchnia górna półwalcowatej kijanki została urobiona graniasto. Następnie (sądząc z kształtu zasięgu, najpewniej gdzieś na północy, nad Bałtykiem) wynikła koncepcja głębokiego wycięcia przedniej części górnej powierzchni. Została ona najprawdopodobniej przyniesiona ze Skandynawji, a w każdym razie

pozostawać się zdaje w najściślejszym związku z koncepcją formy skandynawskiej. Z punktu widzenia ściśle etnogeograficznego jest rzeczą wielkiej wagi, że zasięg kijanki garbatej wkracza w kierunku południowym głębokim klinem wzdłuż Buga i górnej Prypeci. Można tu przypuścić dwojaki tłumaczenie: albo kijanka garbata dostała się tam na skutek jakichś przesunięć etnicznych z północy na południe, albo „koncepcja głębokiego wycięcia” wędrowała poprzez rozmaicie ujęzykowane ludy jako jedna z wielu fal kulturalnych. Powrócimy do tego



Ryc. 28.

TYPY KIJANKI.

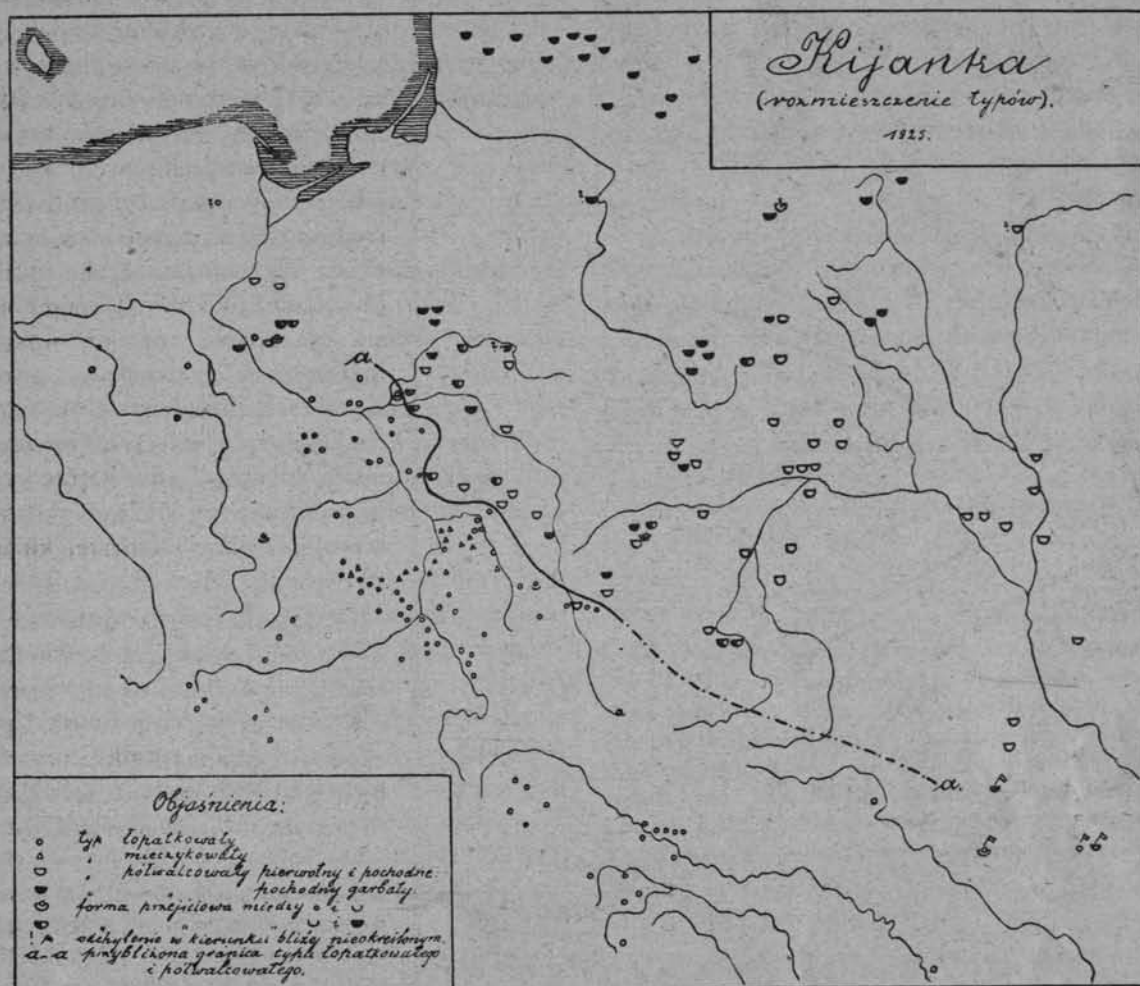
Rys. K. Moszyński.

<sup>5)</sup> Zbiory etnograficzne w Kopenhadze; co do typu tych kijanek polegają na ustnej informacji i odręcznym rysunku prof. St. Biedrzyckiego. O ile mogą służyć z dwu rysunków przywiezionych mi łaskawie z Helsingforsu przez p. St. Małkowskiego, pokrewne typy są używane także w Finlandji; jednak stosunek form finlandzkich do skandynawskich całkiem jasny nie jest.

zagadnienia w artykule ostatnim, tutaj podkreślę tylko, że w każdym razie fakt głębokiego wdarcia się etnicznej czy też kulturalnej północy między Bug i Prypeć zasługuje na najwyższą uwagę.

Według prof. St. Biedrzyckiego typy kijanek, spotykanych w zachodniej i południowo-zachodniej Polsce, wyrabianych zwykle z de-

kałem w r. b. w zapadłym kącie karpackim, w Seneczowie na pld.-wschód od Ławoczno. Kijanki te, a zwłaszcza czeska, zdają się niewątpliwie wiązać typologicznie z wschodnio-azjatyckimi, używanymi przez Ajnów<sup>8)</sup>. Nawet charakterystyczne guzowate zakończenie ajnoskiej rękojeści znajduje bardzo bliskie analogie u kijanek czesko-morawskich. Być więc bardzo



Ryc. 29.

Rys. K. Moszyński.

ski i mających kształt płaskiej łopatki, nie dają się genetycznie powiązać z poprzednimi<sup>6)</sup>. Dzięki uprzejmości prof. J. Horaka oglądałem w Pradze czeskiej bardzo prymitywną, ciężką i wielką kijankę czeską z r. 1846, należącą do tegoż zachodniego typu<sup>7)</sup>. Podobnie ciężką i bardzo pierwotną kijankę łopatkowatą spot-

może, że mamy tu do czynienia z typem bardzo starym, genetycznie wyprowadzającym się od płaskiego kawałka drewna (otrzymanego przez rozdarcie pnia klinami na deskowate drance); podczas gdy równie stary albo i jeszcze starszy typ półwałcowaty pochodzi bezpośrednio od przepołowionego podłużnie niewielkiego okrągłaka. Do rozwiązania tej kwestji brak nam jednak obfitszych wiadomości z Europy i Azji,

<sup>6)</sup> l. c., str. 119 i d.

<sup>7)</sup> Porówn. Narodopisny Vestnik Česko-slovansky, V, 1910, str. 67.

<sup>8)</sup> Ratzel, Völkerkunde, II, 686.

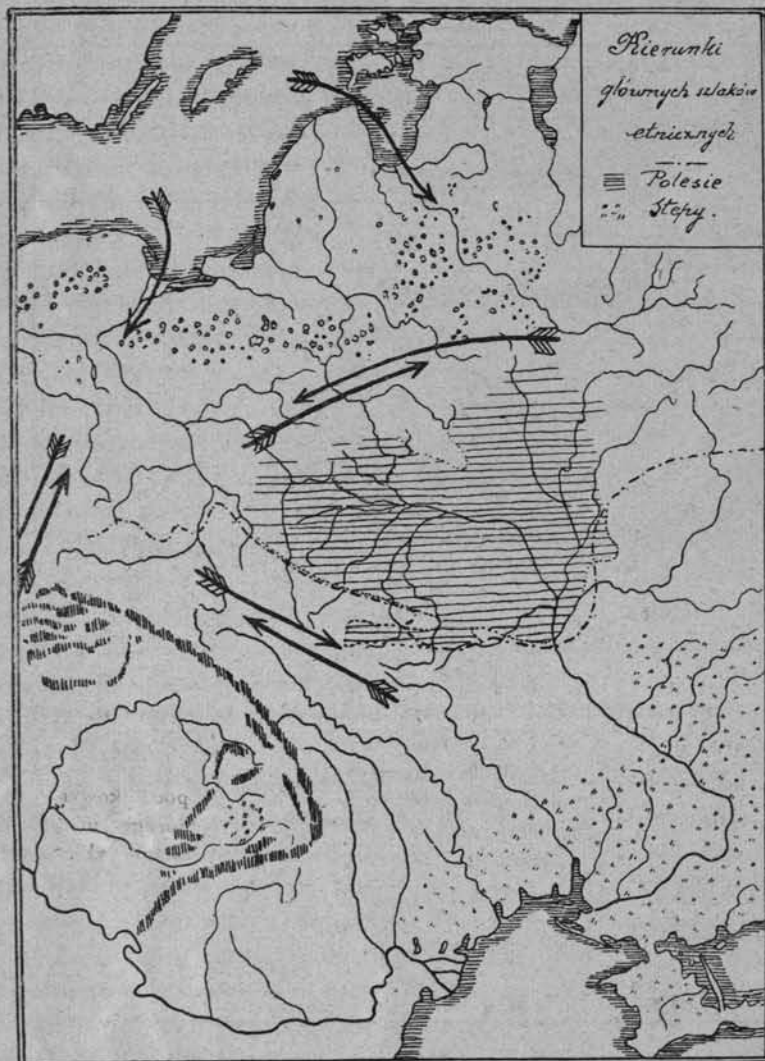
gdyż z drugiej strony niektóre szczegóły przemawiają za pochodzeniem kijanki łopatkowatej od półwalcowatej.

Dla nas, gdy chodzi o Polskę, jest to zresztą sprawą mniejszej wagi. Do Polski bowiem kijanka łopatkowata została przyniesiona najprawdopodobniej już w formie zupełnie go-

Mazowska aż w Ruś Podolską, Karpaty i w pld. Ukrainę. Na Ukrainie miesza się z formami miejscowymi (oznaczonymi na mapie małą chorągiewką), z genezy których z powodu małej ilości egzemplarzy nie można sobie na razie zdać sprawy. Pozatem kijankę łopatkowatą znamy z wyspy Rugji<sup>10)</sup>, z Niemiec<sup>10)</sup>, z Czech i Moraw<sup>11)</sup>, Krocji<sup>12)</sup>, Włoch<sup>13)</sup> i Francji<sup>14)</sup>. W Polsce wyraźnie występuje jako forma wyższa i to zarówno ze względów typologicznych (lekkość, częste złagodzenie krawędzi i obcięcie narożnych kątów) jak i etnogeograficznych (bezpośrednie związki z zachodem i rozpowszechnienie na tych samych obszarach, na których znajdujemy szereg innych, również wysoce kulturalnych i również wiążących się z zachodem, wytworów w rodzaju płuzyc i dawnych drewnianych pługów, dwukapicowego wiązania cepów, iglicowo-krażółkowej przęślicy „Ziemia”, 1925, str. 14, fig. 14, 4 i 5 i t. p.).

Z kijanką łopatkowatą, która bywa różnych rozmiarów i kształtów (rys. 6 B, C i t. p.), wiąże się jaknajściślej, jako forma pochodna, kijanka mieczykowata (rys. 6 A). I znowuż występuje tu na mapie zjawisko pierwszo-

znajduje się kijanka bez N-ru, niewiadomego pochodzenia, na której czyjąś ręką wypisano: „podobna do kaszubskiej”. Otóż ta kijanka jest typowo skandynawsko-duńską. Jest więc całkiem możliwe, że i ten typ spotyka się na Kaszubach, co i z innych względów nie byłoby wcale dziwnem.



Rys. 30.

Rys. K. Moszyński.

towej; pomiędzy nią a półwalcowatą niema u nas żadnych przejść; nawet typy mieszane spotykają się niezmiernie rzadko. Sięga zaś ta forma od Kaszub (co jeszcze należałoby sprawdzić<sup>9)</sup>) poprzez Wielko- i Małopolskę oraz część

<sup>9)</sup> Znam z Kaszub tylko jeden okaz kijanki łopatkowatej, przechowywany w zbiorach etnograficznych w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie (szafa Nr. 7, obiekt Nr. 2720), natomiast w tychże zbiorach

<sup>10)</sup> Biedrzycki, l. c., str. 117.

<sup>11)</sup> Muzeum Etnograficzne w Pradze Czeskiej oraz Narodpisny Vestnik Česk.-slov., V, 1910, str. 67—69.

<sup>12)</sup> W okręgach Petrinja i Gospić. (Dwa okazy w Muzeum Etnograficznym w Zagrzebiu). Dr. M. Gavazziemu za udzieloną mi listownie informację składam serdeczne podziękowanie.

<sup>13)</sup> Jeden okaz w Muzeum Etnograficznym w Warszawie.

<sup>14)</sup> Nouv. Larousse Ill., I, 782. — Zbiory etnograficzne w Warszawie.

rzędnej etnogeograficznej wartości. Już w Świętokrzyskiem i Sandomierskiem występujące tam kijanki łopatkowate często bywają bardzo wydłużone i znacznie zwężające się ku przedniemu końcowi. Pod Zagnańskiem i Suchedniowem spotykamy okazy, które śmiało zaliczyć można do mieczykowatych; poczynając zaś od okolicy Ostrowca wzdłuż Kamionny i dalej na wschód za Opole aż popod Wieprz oraz na północ za Puławy i popod Lublin forma mieczykowata jest panującą. Związek etnogeograficzny między Świętokrzyskiem a północno-zachodniem Lubelskiem—niezaprzeczalny. Czy wywołały go wpływy kulturalne, czy też osadnictwo, rozstrzygnąć będzie można dopiero po dokładnem wykreśleniu zasięgu i uwzględnieniu typów sąsiednich oraz zestawieniu z wskazówkami historii. Tak jak dziś rzeczy stoją, wydaje się, że forma mieczykowata posuwała się w każdym razie w kierunku z zachodu na wschód; na zachodzie bowiem sąsiadują z mieczykowatą, formy wyraźnie przejściowe, podczas gdy na wschodzie te nieliczne okazy, które dotychczas poznaliśmy, są albo od mieczykowatych dalekie, albo mieszane.

Na wschodnich kresach dawnej Polski a zwłaszcza wzdłuż Dniepru tamtejsze kijanki półwalcowate pochodne bywają nieco wygięte w ten sposób, że z jednej strony rękojeść, a z drugiej przedni koniec są łukowato wzniesione ku górze. Niekiedy zresztą zadarty bywa tylko sam przedni koniec. Również garbate kijanki na Żmudzi często bywają mniej lub więcej wygięte. Cel jest jasny. Chodzi

o jaknajlepsze zabezpieczenie ręki od zbijania o przedmiot, na którym leży prane płótno lub t. p. Otóż jest rzeczą wysoce ciekawą, że kijanki zachodnio-wielkoruskie, znajdujące się w kolekcji prof. Biedrzyckiego, a mianowicie kałuskie, nowgorodzka i jedna z dwu pskowskich wyłącznie tym wygięciem różnią się od naszych typów łopatkowatych. Innymi słowy, gdyby od kijanek, używanych na zachodniej Wielkorusi, „odjąć” koncepcję wygięcia, mielibyśmy tuż na wschód od dorzecza Dźwiny i Dniepru typowe kijanki łopatkowate. Droga jednak, na której wytworzyła się kijanka zachodnio-wielkoruska, nie jest jeszcze dostatecznie znana.

W innych okolicach Wielkorusi są w użyciu typy odmienne<sup>15)</sup>, zbliżone, o ile sądzić można z fotografii, do tych, które znam z Bośni<sup>16)</sup> i Dalmacji<sup>17)</sup> a które najprawdopodobniej pochodzą od półwalcowatych. W Karyntji są w użyciu kijanki półwalcowate pochodne garbate<sup>18)</sup><sup>19)</sup>.

<sup>15)</sup> Peasant Art in Russia.—Studio MCMXII, fig. 188, 189 i 192.

<sup>16)</sup> Mitteilungen d. antrop. Gesellschaft in Wien, t. 34, 1904, str. 167, fig. 50.

<sup>17)</sup> Według rysunku otrzymanego za pośrednictwem prof. St. Biedrzyckiego.

<sup>18)</sup> Mitteilungen d. antrop. Gesellschaft in Wien, t. 32, 1902, str. 99 fig. 74.

<sup>19)</sup> Nie mogę tu nie wymienić najżywszej wdzięczności wszystkim, którzy mi łaskawie dostarczyli rysunków kijanki lub jej okazów wzgl. umożliwili opracowanie zbiorów. Najserdeczniejsze zaś podziękowanie winienem prof. St. Biedrzykiemu, którego uczynność i uprzejmość, wyrażająca się w oddawaniu zbieranych przez siebie materiałów, jest doprawdy niezwykła.

## OD REDAKCJI.

### Poszukiwania etnogeograficzne.

Uznając ważność poszukiwań etnogeograficznych w Polsce, otwieramy dla nich specjalny dział. Będą w nim umieszczane wszelkie wiadomości, nadsyłane do redakcji, a dotyczące zaznaczających się terytorjalnie różnic między kształtami i nazwami obiektów ludzkiej kultury. Nawiązując do artykułu Kazimierza Moszyńskiego o kijance, wysuwamy jako pierwsze zagadnienie *typ kijanki* i prosimy o nadsyłanie o nim wiadomości możliwie ze wszystkich zakątków kraju. Bardzo pożądane

byłyby też rysunki (widok z góry, z boku i przekrój poprzeczny)<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Ktobykolwiek chciał już obecnie nadsyłać wiadomości także o innych zagadnieniach (jak np. kształt radła, jarzma, przęślicy; sposób wiązania cepów i t. p.), ten może się orjentować według artykułu umieszczonego w Nr. 1 „Ziemi” z r. b., gdzie na str. 14 — 16 wymieniono najważniejsze pod względem etnogeograficznym obiekty (porówn. odnośnik na str. 14). Etnogeograficzny punkt widzenia uwzględnia też szczegółowy kwestjonariusz K. Moszyńskiego „W sprawie zbierania wiadomości o ludowej kulturze materialnej”. (Nakładem Związku Pol. Nauczycielstwa Szkół Powsz., Marszałkowska 123).

# DAŻENIA NIEPODLEGŁOŚCIOWE W NASZEJ WSPÓŁCZESNEJ PIEŚNI LUDOWEJ.

## I.

Cechy wyróżniające pieśń ludową z pośród ogólnej twórczości literackiej, jakimi są: jej bezmienność, śpiew raczej niż deklamowanie wierszy, przekazywanie jej nie drogą pisma lub druku, lecz tradycji ustnej, uległy, na ziemiach polskich, zasadniczej zmianie.

Proces wyzwania się świadomości społecznej i narodowej wśród mas ludowych, trwający z większym lub mniejszym natężeniem stale w ciągu ostatniego półwiecza we wszystkich okolicach Polski, zarówno sprawił, że z szeregu jednostajnego dotąd tła wyrastali poeci, w duszach których krystalizowały się zbiorowe uczucia, tęsknoty, marzenia i dążenia.

Nie dosyć na tem. Na tle ich powstawały także prądy polityczno-społeczne wylaniające pisarzy-publicystów, którzy „ręką stwardniałą od pługa” imali za pióro, aby niem walczyć o słuszne prawa.

I Polska przed swoim wyzwoleniem, a może w oczekiwaniu i przygotowywaniu swego wyzwolenia, stała się widownią jedyne go może w Europie piśmiennictwa, nie mającego z nauką książkową nic wspólnego, wolnego od wpływów obcych, jakie mimowiednie chłonęła w siebie „kształcąca” się część społeczeństwa, pełnego natomiast pierwiastków rodzimych.

Współcześni badacze folkloru, o ile zastanawiać się zechcą nad jego wartościami duchowymi, mają dziś w Polsce drogę nader ułatwioną. Nie potrzebują zbierać mozolnie z okrucich całości zasłyszanej pieśni lub podania gminnego, dość im będzie wczytać się uważnie w treść pism ludowych, w ciągu ostatnich lat dziesiątków na ziemiach polskich wychodzących, a ogółowi naszej inteligencji prawie, że nieznanym, aby mózgi określić istotę i charakter twórczości samorodnej naszych czasów.

Powierzchniowy obserwator, nazwałby żywy ruch ludowy w kierunku publicznego wypowiedzenia się, w prozie i pieśni, zbudzeniem się patriotyzmu w masach dotąd na jego hasła obojętnych.

Dawna Rzeczpospolita stanowa dawała, jak

wiemy, nagrody i przywileje za udział w potrzebie wojennej, skąd wytworzył się w Polsce specyficzny typ bohaterstwa, zapalającego się w chwilach grożącego niebezpieczeństwa. Hołdowały mu literatura i sztuka; Słowacki mówił niegdyś, z ironją, że Polska umiała się zdobyć jedynie na typ kolorowego ułana. Antytezą tego typu był chłop, orzący ziemię. W butnym i barwnym życiu rycerskiej szlachty coraz bardziej pomijany, coraz mniejszą, w zewnętrznym życiu narodu, odgrywający rolę. A jednak stanowisko jego o życiu narodu było zupełnie równorzędne z tem, jakie zajęła warstwa rzekomo przodująca i za jego losy odpowiedzialna. Nietylko utrzymał on polski stan posiadania i przy zmiennych losach kraju, wypieraniu z niego przez obcych silny opór stawiał, ale jeszcze przechował i utrzymał skarb, stanowiący o odrębności narodowej: język i obyczaj rodzimy. Owinięta około wierzeń ludowych legenda, miała nietylko cichy urok ukrytych idealnych dążeń ale i zamknęła w sobie nieodmienioną, istotną treść duszy całego narodu.

Nic dziwnego, że pomiędzy dwoma tak różnymi typami psychicznymi wytwarzała się, z biegiem wieków, przepaść niemal nie do przebycia. Pogłębiała się ona i w końcu podzieliła społeczeństwo polskie, w zaraniu państwowości prawidłowo i słusznie, na zasadach współpracy zorganizowane, na dwa obozy obce sobie. Stąd brak zrozumienia się wzajemnego, rozciągającego się aż do zadań najbardziej istotnych i klęska kolejnych powstań, po utracie niepodległości, z powodu braku w nich masowego udziału ludu. Nie połączyły dwóch obcych sobie grup społecznych, mosty przerzucone pomiędzy nimi, przez najbardziej ofiarne i szlachetne jednostki w ciągu długich lat porozbiorowych. Więc i ruch ludowy, który pod naporem światowych zdarzeń, musiał się i w Polsce zbudzić, przybrał odrębną, swoistą postać. Pieśń i publicystyka, które były jego naturalną emanacją, stanowią jakoby osobny, w sobie zamknięty świat, przez sfery inteligentne nieznanym i niedocenionym.

Co jest dziwniejszem, że właśnie teraz znalazły się owe punkty styczne, których, przez wieki dwum grupom społecznym brakowało. Lud zrozumiał konieczność walki o wyzwolenie i dał temu postulatowi niezmiernie silny wyraz w swych pieśniach współczesnych. Tlejące bezustannie w duszach poczucie społecznej krzywdy spotęgowało się odporem przeciwko uciskowi politycznemu, nadając publicznym wystąpieniom chłopskim niezwykłą siłę. Pieśń jednak, obok tego, co według naszych pojęć, nazwiemy obudzonym patriotyzmem zachowała swoją miłość do ziemi i tradycyjną, rozlaną tęsknotę. I prześladowanie religijne na Podlasiu i Chełmszczyźnie, i konieczność masowego opuszczenia kraju za zarobkiem stałym lub sezonowym i bolesna po obczyźnie wędrówka, działalność bezprawna kulturkampfu pruskiego z jego prześladowaniem religijnem i narodowym, przysłowiowa wreszcie nędza galicyjska na karłowatych gospodarstwach nie mogących istnieć bez amerykańskiego grosza, ciężko w kopalniach i fabrykach zarobionego, to była dola chłopca.

Chłop polski zmuszony został myśleć kategorjami nowoczesnego człowieka, a świat jego wyobraźni wzbogacił się i rozszerzył nowymi horyzontami. Co jednak uderza przedewszystkiem w twórczości piśmienniczej ludowej, to niezmiennosc jej pierwiastków zasadniczych i wspólność wzlotów i dążeń w każdej z tak długo rozdzielonych a odrębnem życiem żyjących, pod różnymi wpływami pozostających, dzielnic.

\* \* \*

Zacniemy rozważanie nasze od pobieżnego chociaż wejrzenia w poezję ludu cieszyńskiego. Dziwne są losy tego kraju! W zaraniu naszej państwowości od macierzy oderwany, oddany w moc obcych, zachłannych wpływów, jest wyraźnem świadectwem niespożytej odporności ludowej. Tam matka-ślazaczka kołysząc swoje dzieciątko, zawodziła mu, od wieków niezmienną piosenkę:

Lipo, lipo, lipczko,  
Szkoda ciebie dziewczeczko;  
Szkoda ciebie, szkoda mnie,  
Szkoda jest nas oboje.  
Dąbku, dąbku, dąbeczku,  
Szkoda ciebie syneczku;  
Szkoda ciebie, szkoda mnie,  
Szkoda nas jest oboje.

I życie spełnia te smutne przewidywania. Ziemia, najwyższy skarb chłopca, przechodzi do rąk obcych nabywców, od nieumiejących jej utrzymać polskich „panów“, z biegiem lat powstają kopalnie i fabryki gdzie żywiol miejscowy staje się, jako robotnik bezwolnem narzędziem z bogacenia się obcych przybyszów. Wcześniej więc może niż na innych ziemiach polskich, słyszymy tam w pieśni ludowej silne akcenty bojowe:

Ułanie, ułanie polski kawalerze,  
Będziemy wojować za ojczyznę szczerze.  
Choćbyśmy ponieśli na swem ciele blizny,  
Nie będziem żałować, bo to dla ojczyzny.

Już po 1848 r. gdy w promiennej wiosnie ludów, budzą się do nowego życia kraje wciążgnięte w orbitę monarchji austryjackiej, lud śląski głośno domaga się oswobodzenia. Polecą ludowi jak Kubisz i Sikora budzą siłę odporu, podtrzymują wytrwanie. Ten ostatni żali się na ucisk szkolny, który ruguje z serc dzieci miłość do języka ojczyzno i śpiewa:

Płyniesz Olzo po dolinie  
Płyniesz jak przed laty  
Takie same na twym brzegu  
Kwitną wiosną kwiaty.  
Ale ludzie w życiu swoim  
Zmienili się bardzo,  
Zwyczajami, wiarą przodków  
Ledwie, że nie gardzą.

Ale muszą nastąpić lepsze czasy... może wnuk kiedyś, wracając do obyczajów przodków swoich

Żyć będzie dla swojej ziemi,  
Czynem i miłością.

Poprzez całą ludową poezję cieszyńską przewija się jedno wskazanie: synu, kochaj swój kraj ojczyzny, wytrwaj przy starym obyczaju:

A matka z płaczem mnie ścisnęła,  
I rzekła, synu, nie zapomnij matki!  
A kiedy ojciec żegnał mnie u progu  
To przedewszystkiem poruczył mnie Bogu,  
A potem wskazał na chaty i pola  
I na tę Olzę co przez niwy płynie...  
I rzekł:  
Wróć mi z miłością do rodzinnej wioski  
I z utęsknieniem do chaty ojcowskiej.

Poeta mówi jeszcze czyją będzie przyszłość:

Tych co nie zegną swych kolan przed Baalem;  
Przez nich Bóg będzie łaskaw i pozwoli,  
Że naród wyjdzie z „duchowej“ niewoli.

Podkreślamy wyraz duchowej, bo o politycznej nie wolno było mówić pod rządem austriackim.

Śpiewak marzy jednak, że przyjdzie dzień wyzwolenia, on góral jabłonkowski widzi jak w Beskidach powstaje zastęp, z długiego snu wyzwolonych żołnierzy.

Żywo, chłopcy, żywo, z tą nadzieją w Pana,  
Że nam pomoc Jego będzie z niebios dana...

Przychodzi wielka wszechświatowa wojna. Polska powstaje z niej wolna lecz okaleczona; odczuwa to najbardziej ta część polskiego ludu, która Czechom przyznana została. Wtedy to młodzież robotnicza zrzesza się w związki p. n. „Siła”, przenosi swoją działalność z Cieszyna do Karwiny, aby tam na swoich współtowarzyszy, zmuszonych żyć pod obcym jarzmem, oddziaływać i tworzy pieśń robotniczą, wspaniałą hymn do pracy, niezbitą dowód tej ewolucji, jaka pod naporem krzywdy odbyła się w duszy polskiego ludu.

Oto parę zwrotek z niego wyjętych:

Razem do pracy wnieśmy dłonie!  
Razem na wielki trud!  
Aby po nędzy — cierpień zgonie  
Wyciosać dobra wielki cud.  
Niech wiedza i nauka płonie...  
By szczęście w każdej trwało stronie  
Razem do pracy wnieśmy dłonie.  
.....  
Niechaj na gmachu, tam na szczycie,  
Znicz ducha płonie dzień i noc  
Niech płonie piękno całe życie  
Rozświetła prawdy moc,  
W pokoleń wieków bycie  
Jak cudnej jutrzni brzask o świecie  
Niech świeci tam, na szczycie!...

\* \* \*

W ostatnich czasach oba Śląski: Górny i Cieszyński, jakby w przeczuciu niechybnego a bliskiego połączenia, mimo dzielących je granic przedwojennych, weszły w bliskie stosunki. Urządzano wspólne wiece na swobodniejszym nieco terenie austriackim, wtedy to poznano, jak dalece ludność dwóch odrębnych wtedy dzielnic swoje odrębne cechy rodzime zachowała. Te same uczucia tu i tam, ta sama pieśń. Głębszym bólem jednak jest nacechowana poezja ludu górnośląskiego, cięższe bowiem były prześladowania, które go dotykały. Stronę jego biorą księża katolicy, we wszech-

nicach niemieckich wychowywani, zachowujący jednak obok nabytej, w obcym języku wiedzy całą prostotę i bezpośredniość pojęć ludowych. Dlatego też pieśni czy księdza Damrota czy Borysa z całą słuszością zaliczone być mogą do twórczości ludowej. Co więcej, zachowały one archaiczną formę językową z czasów zygmuntońskich, stając się przez to niesłychanie cennymi dokumentami staropolskiej kultury. Ks. Borys tworzy śląską ludową epopeję z opisaniami kraju, strojów i obyczajów ludowych zachynającą się w tych słowach:

Górny Śląsk niegdyś był prawdziwym rajem,  
Gdy go natura pieściła swym majem;  
Była to ziemia urodzajna, żyzna  
Plemion piastowskich prastara ojczyzna.  
Gęste ją bory kryły po granice,  
Przez które mknęły rzeki swawolnice,  
Liczne strumienie przerywały pola,  
A plon obfity wydawała rola.  
Lecz gdy dla obcych Górny Śląsk otwarto  
Wnet go z urody odwiecznej obdarto.  
Zwolna padały pod siekierą lasy,  
Nikły pól łany, zmieniały się czasy.  
W miejsce drzew starych wyrosły kominy.  
Powstały huty, warsztaty, fabryki,  
Z niemi zgiełk, świsty, maszynowe ryki...  
Zaś w ziemi lochy otwarto bezdenne  
Aby z jej łona wydrzeć skarby cenne...

Trudno o bardziej charakterystyczny protest ze strony ludu, który jeszcze Długosz „polnym” nazywał.

Już nie opowieścią, wskazującą dawną przeszłość, ale wezwaniem do oporu i walki są pieśni kowala wioskowego Juljusza Ligonia. Gdy z kowadła jego padają iskry z przekuwanego żelaza, równocześnie z ust jego idą do ludu słowa rozniecające płomień w duszach:

Hej! młodzieży wznos sztabary,  
Broń języka, broń swej wiary!  
Bo kto przodków skarby spodli,  
Próżno się do Boga modli.

Było to po roku 1870, gdy rozzuchwalona zwycięstwem nad Francją, buta pruska, wzmocniła politykę represyjną względem polaków. Lud Poznańskiego, Pomorza i Śląska silnym odporem na to odpowiedział; tak jednak nad morzem, wśród Kaszubów, jak i w głębi ziem zabranych ozwało się wówczas echo zjednoczenia całej Słowiańszczyzny w walce z naporem germańskim. I Ligoń śpiewa:

Kochajmy się wszyscy wzajem  
Starych przodków obyczajem  
Bośmy są jedną rodziną  
Dowody tego w nas płyną.

Ale przede wszystkim Polska musi być wy-  
zwolona i zjednoszona:

Kaszubi, Staroprusacy,  
Mazury i Warmijacy,  
Wielkopolanie, Ślązacy,  
Wszyscyśmy bracia Polacy.  
I dalej za Karpatami  
Też jednym duchem tchną z nami  
Na Litwie i Królewicy,  
Wszyscyśmy jedni rodacy!

Przychodzą rugi pruskie i przymusowe wy-  
właszczenia na rzecz baronów przemysłowych  
niemieckich, książd Borys znowu staje się  
rzecznikiem krzywd ludowych:

Ucisk brutalny żelaznej ręki  
Nielitościwie gniótl śląski lud  
Zewsząd się dały usłyszeć jęki  
Polskich wygnanców, sierot i wdów.  
Co naród cierpiał ja odczuwałem  
Jam dzielił jego rozpacz i ból,  
Jak oderwany liść wód nawałem  
Tak żalem miotan był umysł mój.

Ale ten jęk rozpaczy zrównoważony jest  
wnet, wesolą gadką robotniczą:

Coby to było już dotychczas z nami,  
Gdyby nie Bismark, powiedźcie no sami;  
W śnie pogrążeni, nie troszcząc się niczem,  
Gdy Bismark wyciął nas porządnie biczem,  
Wstaliśmy ze snu i rzekli mu: bratku!

Tybyś nas pewnie chciał zjeść na ostatku,  
Hola! Powoli, my też prawo znamy,  
Wydrzeć go sobie nikomu nie damy.  
Już ci zawadza nasz język i wiara?  
Kancelerzu, tobie od tych skarbów wara!

Przemiął groźny kanclerz, przemięła nie-  
zwyciężona potęga militarna pruska, przetrwała  
pieśń, która zagrzewała do walki i do zwy-  
cięstwa.

Aż przyszło zmartwychwstanie ujarzmione-  
go i rozproszonego narodu i wtedy powsta-  
niec śląski taką przysięgę składa na wierność  
uślesknionej ojczyźnie. Wyrzywa mu ją z duszy  
ks. Damrot, kość z kości, krew z krwi śląskie-  
go ludu:

A jeśli ciebie ja zapomnę,  
Ojczyzno moja, ziemio święta...  
To niechaj pomrą bezpowrotnie  
Synaczki moje pacholęta,  
I niechaj serce me bez wiary  
Przygniecie brzemie i ciężary  
Ogromne.

A jeśli ciebie stłumią w łonie  
Ojczyzno mowo, to ułomne  
Me serce w bólu niech utonie.  
Niech ze szpon troska mnie nie puści,  
Niech język przyschnie do czeluści  
Przy zgonie.

A jeśli puszcze cię z opieki  
Ma ojcowizno, mój zagonie,  
Niechaj mnie trapią wieczne spieki,  
A jeśli nawet lże uronie  
Niech spali się w pożarów dymie  
Na wieki.



## „UCIEKŁA MI PRZEPIÓRECZKA”...

Pełną młodzieńczej werwy i świeżości jest  
twórczość Żeromskiego, a sam on tak blisko  
stoi życia, tak wyczuwa wszystkie jego nowe  
drgnienia i problemy, że każda praca ukocha-  
nego naszego twórcy to snop światła na nowe  
a interesujące zagadnienia.

Tak żywo obecnie omawiany i zapalający  
umysły regionalizm pobudził twórczość Żerom-  
skiego do napisania sztuki, której akcja osnuta  
jest na fakcie badań regionalnych.

Cały program prac krajoznawczych rozsnu-

wają zapaleni bohaterowie sztuki: Przełęcki  
zorganizuje w porębianim zamku kursy waka-  
cyjne dla nauczycielstwa ludowego całej  
prowincji, Radostowiec—muzeum fizjograficzne  
„aby ludzie nauczyli się rozumieć te bezcenne  
wartości, po których depcą bezmyślnie, albo  
które niszczą jak wandale”, Małowieski w je-  
dnej sali otworzy stację botaniczną i stałą wy-  
stawę rolniczą, Cichocki zapali słuchaczy do  
zbierania materiałów gwaroznawczych, Wilkosz  
wystawi ze czcią akty i dyplomy, dotyczące

okolicy, gdyż „nic tak nie zachęca obywatela do studjów przeszłości, jak widok prastarego zabytku z jego okolicy rodzimej”.

To wszystko przeszłość, ale w porębian.

skim zamku stanie i stacja meteorologiczna, co na pięć, sześć mil wokoło będzie dawała znaki ostrzegawcze, będzie tam i seismograf, a w wielkiej sali kinematograf naukowy przyrodniczo-histeryczno-geograficzny.

„Zgarniamy z tej okolicy wszystko, co nasza wiedza uzna za wartościowe, a wzamian damy tejże okolicy stokroć, tysięckroć, miljonkroć więcej: damy jej świadomość o sobie i o swem jestwie”.

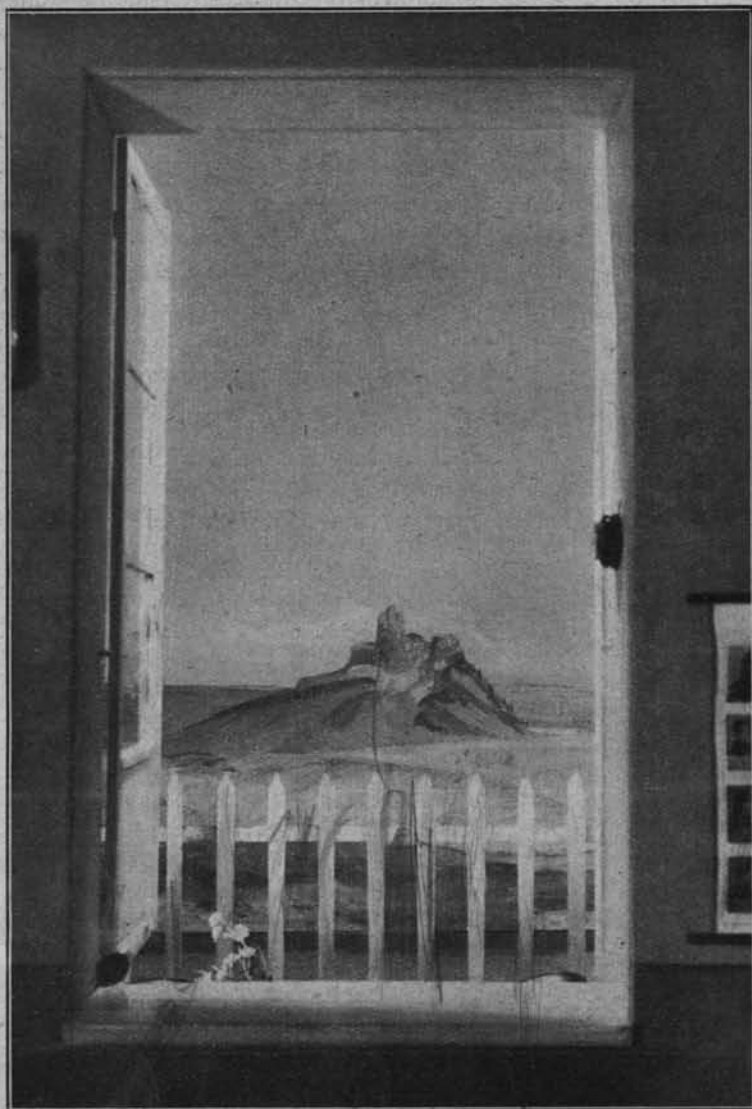
Cudne istotnie plany, marzenia ojców naszych wcielane w istny czyn.

Czuć doskonale, jak Żeromski śni i marzy tę „rzecz znakomitą—utkaną z zapalu”. Słuchając tego nabiera się wiary w świetny i wielki rozkwit regionalizmu, twórczego wątku pod budowę wielkiego gmachu krajoznawczego, czerpiącego soki ze wszystkich okolic kraju, aby dać całemu ludowi polskiemu najwyższe dobro: „świadomość siebie”.

Żadna agitacja nie posunie tak sprawy badań regionalnych, jak te słowa I aktu *Przepióreczki*, płynące ze sceny Teatru Narodowego.

Wielki obywatel, wielki patryjota, wielki artysta przemawia, a takie słowa w złote głoski wykuwają się w duszach narodu.

*Al Janowski.*



Ryc. 31. ZAMEK POREBIAŃSKI. Fot. Malarski. dekoracja z Izby szkolnej w sztuce Stefana Żeromskiego: Uciekła mi przepióreczka...

## Z PIŚMIENICTWA.

**Przyrodnik.** — Roczn. 2, zeszyt 1 pod redakcją Dr. K. Simma. Cieszyn 1925, styczeń. str. 48, ilustracji i map 43. Drugi swój rocznik zaczął *Przyrodnik* cennym zeszytem styczniowym, na który złożyły się artykuły: W. Kulmatycki „O występowaniu miszywiolów na ra-

kach”, J. Fudakowski, „Z przyrody wysp Adrjatyku”, J. Sokołowski „Biegus morski”, W. Niesiołowski „Niepylak apollo”, Pięciolecie Komisji Ochrony Przyrody, Kącik dla akwarjów i terrarjów, Komunikaty i sprawozdania. Zarówno dobór tematów, jako też wartościowe ich opr-

cowanie, chlubnie świadczą o pracy Redaktora i Autorów i zapowiadają dalszy rozkwit tak pożytecznego czasopisma, jakim jest Przyrodnik. Gdy dodamy jeszcze 16 tomików Biblioteki „Przyrodnika” z pracami prof. Szafera, Rouperta, Demla, Milaty, Simma, Korybut-Daszkiewicza i in., będziemy mieli obraz tej pożytecznej akcji wydawniczej B. Kotuli w Cieszynie, czyniącej zaszczyt tamtemu zakątkowi Polski.

*Aljan.*

**Poradnik dla samouków** (w wydaniu nowem). — Wyszedł z druku (nakładem Kasy Mianowskiego) tom 5 nowego wydania Poradnika, (XIII + 769 str. druku), poświęcony zagadnieniom i metodom mineralogii i petrografii oraz wskazówkom dydaktycznym, z bibliografią, dla studjujących te nauki już to dla specjalizowania się w nich już to dla wykształcenia ogólnego. Jest to piąty z kolei tom wydawanego od lat 10-ciu rozszerzonego bardzo znacznie dawnego Poradnika, który wychodził w latach 1898 — 1902. W ten sposób mamy tu już na nowo gruntownie opracowane następujące działy: tom I i III — Matematyka, tom II — Fizyka, tom IV — Krystalografia, tom V — Mineralogja i Petrografia (w druku tom VI — Botaniczny).

Wobec braku w języku polskim podręczników mineralogji w ujęciu nowożytnem, tom V Poradnika wraz z poprzednim (Krystalografia) staje się niezbędną księgą podręczną dla profesorów, nauczycieli i studentów. Opracowany przez specjalistów — przyczyni się do podniesienia kultury naukowej społeczeństwa wogóle i do pogłębienia popularyzacji w zakresie nauk wymienionych.

Należy zwrócić uwagę na układ materiału w dziele i sposób ujęcia treści. Wydawnictwo ma na celu, przez wykłady i informacje w niem zawarte, dać pełny obraz dzisiejszego stanu nauk, ich „warsztatu” nowoczesnego, tych

materiałów oraz środków technicznych i rozmowych, przy których pomocy tworzy się nowoczesna wiedza.

„Samouctwo” jest w Poradniku pojęte jako metoda studjów, tem aktualniejsza, im dalej posuwamy się ku studjom wyższym, samodzielnym. W tem rozumieniu największy uczoney — twórca — to klasyczny samouk.

Na czele tomu V-ego znajdujemy wstępny wykład (J. Morozewicza) o mineralogji i petrografji, jej zadaniach i metodach, dalej osobny rozdział (S. Małkowski) poświęcony zasadom metodyki nauczania elementarnego i średniego z krytycznym wykazem literatury. Dalej mamy szczegółowo opracowany uniwersytecki szczebel studjów (T. Woyno, J. Morozewicz, St. Thugutt) gdzie są podane dzisiejsze metody i technika badań, naczelne zagadnienia poszczególnych dyscyplin nauk mineralogicznych, z wykazem krytycznym najwybitniejszych dzieł i czasopism polskich i obcych, w kilku językach. Osobno uwzględniono: Mineralogję i petrografję Polski (J. Morozewicz), tak ważną dla krajoznawstwa i omówiono ideę ochrony przyrody (St. Małkowski), podając odpowiednie wskazówki i literaturę. Bardzo ważnym dla celów ogólnokształcących i niezwykle interesującym dla każdego jest dział historii mineralogji (S. Kreutz i K. Koziorowski) powszechnej i polskiej, gdzie znajdujemy obraz rozumowany ewolucji nauki, dotąd w literaturze polskiej mało znany, a gdy idzie o historję mineralogji polskiej, zupełnie nieopracowywany w ostatnich czasach.

Obfitą treść tego dzieła zamyka Działem informacyjnym T. Woyno: o organizacji badań w Polsce i zagranicą oraz o organizacji nauczania uniwersyteckiego. Potem następują: skorowidze nazwisk i rzeczy, sprostowania i informacja francuska o układzie i metodzie ujęcia przedmiotu w Poradniku.

## KRONIKA.

**XII Zjazd Lekarzy i Przyrodników Polskich w Warszawie.**—W dniach 12—16 lipca po 14-letniej przerwie odbędzie się w Warszawie Zjazd Lekarzy i Przyrodników Polskich.

Komitet Organizacyjny Sekcji Geograficznej, pragnąc, aby Zjazd ten przebiegiem swoim i wynikami odpowiedział godnie tradycjom szeregu poprzednich Zjazdów od r. 1867, zwraca

ca się z gorącym wezwaniem do wszystkich geografów polskich, aby jak najliczniejszym udziałem i współpracą przyczynili się do powodzenia tego święta Nauki Polskiej.

Komitet Organizacyjny Sekcji Geograficznej wysuwa następujące sprawy jako tematy do referatów na Zjeździe:

1. Nazwy regionów geograficznych w Polsce.
2. Zdobycze geografii regionalnej w Polsce.
3. Postępy badań nad morfologią dyluwjum.

Przewidywane są też posiedzenia wspólne z sekcją geologiczną i geofizyczną oraz wycieczka po niżu Mazowieckim.

Komitet Organizacyjny prosi uprzejmie o możliwie wczesne nadsyłanie tytułów zgłoszonych referatów. Wszelkie pisma w sprawach naukowych pp. Uczestnicy Zjazdu zechcą adresować do prof. Stanisława Lencewicza (Zakład Geograficzny Uniw. Warsz., Pałac Staszica, Nowy Świat 72).

Następne cyrkularze będą rozsyłane tylko do tych osób, które zgłoszą swój udział w Zjeździe.

**Oddział toruński Tow. Krajoznawczego** odbył swe walne zebranie 26 stycznia.

Rok 1924 zaznaczył się znacznym ożywieniem ruchu w towarzystwie. Wycieczek zamiejscowych było 5 (Gołub-Dobrzyń, Otłoczyn, Aleksandrów - Ciecchocinek, Gniezno, Włocławek); na miejscu zwiedzono szczegółowo: kościół N. P. Marji, kościół św. Jana, fabrykę pierników dawn. R. Thomas, ogród botaniczny, kościół św. Jakóba i fortyfikacje miejskie. Przyjęto i oprowadzono po mieście 4 wycieczki, razem 445 osób. Podczas kilku wycieczek do-

konano zdjęć fotograficznych dla archiwum oddziału; przyjęto wycieczki oddziału szczególnie gościnnie w Aleksandrowie Kujawskim (hr. Mycielski) i we Włocławku (prezes Olszowski).

Księgozbiór oddziału, składający się z cennych dzieł treści krajoznawczej i geograficznej, liczył pod koniec r. ub. 43 tomy. Archiwum fotograficzne, zawierające przeważnie zdjęcia zabytków toruńskich, zostanie w najbliższym czasie wydatnie zasilone zdjęciami fotografa oddziału, p. Ziolkowskiego.

Członków jest 101; budżet wyraża się w następujących liczbach: dochód 127,27 zł., rozchód 117,49 zł., saldo 9,78 zł.

Udzieliwszy ustępującemu zarządowi absolutorjum—wiceprezesowi p. radcy Mikulskiemu wyrażono przez aklamację podziękowanie za owocną pracę—przystąpiło walne zebranie do wyboru zarządu. Zostali wybrani: pp. red. Sydow—prezes, inż. Królikowski—wiceprezes, p. A. Wałdowska—sekretarka, p. Rękosiewicz—skarbnik, inż. Skrzypek — zast. sekretarza, p. Hildelbrandtowa—zast. skarbnika. Postanowiono też kooptować do zarządu jako ławników pp. radcę Mikulskiego i Kincego.

W wolnych głosach poruszyli pp. inż. Królikowski, prof. Kwiatkowski i inż. Skrzypek szereg spraw, które oddział powinien zająć się w r. b. np. sprawą zbierania materiałów do Monografii Pomorza itp. W końcu uchwalono załatwić na najbliższym zebraniu miesięcznym kwestję podwyżki składki rocznej. Zachęcający obecnych członków do abonowania „Ziemi”, prezes zamknął zebranie.

---

**TREŚĆ:** *A. W. Jakubski:* Wspomnienia z wycieczki na Mont Blanc.—*Kazimierz Moszyński:* Niektóre wyniki etnograficznych badań Polski.—Od Redakcji.—*J. W. Kosmowska:* Dążenia niepodległościowe w naszej współczesnej pieśni ludowej.—*Al. Janowski:* „Uciekła mi przepióreczka”... — Z piśmiennictwa.—Kronika.

---

„Ziemia” częściowo wydawaną jest z zapomogi Wydziału Nauki Ministerstwa W. R. i O. P.

---

**PRENUMERATA** wynosi: Kwartalnie 3 zł. Półrocznie 6 zł. Rocznie 12 zł. Za przesyłkę dolicza się 50 gr. kwartalnie. Członkowie P. T. Krajoznawczego, nauczyciele, młodzież szkolna i akademicka otrzymują 10% zniżki. Koła Krajoznawcze młodzieży korzystają z 20% zniżki.

---

**Cena niniejszego zeszytu zł. 1.**

---

**Redakcja i Administracja w Warszawie, ul. Karowa 31, tel. 42-50.**

---

**Redaktor: Kazimierz Kulwieć.**

**Wydawca: Polskie Towarzystwo Krajoznawcze**

---

Druk. J. Świętoński i S-ka, Warszawa, Kopernika 34. Tel. 407-50.